

Rozdział I. Syrenka ustecka i inne

1. Demon stary jak świat

Postać z herbu tego miasteczka od trzech tysięcy lat jest uosobieniem złych mocy. Teraz „straszy” w Ustce na każdym rogu. Trzymając w ręku zimną rybę, spogląda na nas z niebieskich szyldów z nazwami ulic i z dokumentów wystawianych przez Urząd Miejski. Kto, kiedy i dlaczego wybrał złowieszczonego rybo-człowieczego stwora na znak rozpoznawczy Ustki?



Syrenka z usteckiego herbu jest demonem straszącym ludzkość od trzech tysięcy lat

Im bardziej chciałem rozwikłać tę zagadkę, tym bardziej czułem, jak Syrenka Ustecka wciąga mnie w baśniowe życie. Zupełnie jakby rację mieli ci, którzy twierdzą, że syreny zwodzą na manowce. Dotarłem do przesłanek, z których może zarówno wynikać, iż ustecka kobieto-ryba jest symbolem zła, jak i że jest córką Króla Mórz, siostrą walecznej Syrenki Warszawskiej, powszechnie cieszącej się dobrą sławą. Są nawet poszlaki, że w rzeczywistości to jedna i ta sama postać. Warszawska, nim dotarła na Mazowsze, miała spędzić sporo czasu u południowych wybrzeży Bałtyku. Czy to po jej obecności pozostały w Ustce trwałe ślady i legendy?

Nieuważni omijają je obojętnie. Ale ci, którzy kochają przygodę i historię, ruszają na szlak, wyszukują je i bacznie się przyglądają. To przecież zabytki dziejów dawnej portowej Ustki. Trzeba tylko przyłożyć oko i ucho, by usłyszeć opowieści starej Ustki.

Stara jak Biskupin

Nim jednak posłuchamy, zanurzymy się w mitologii. Dziw bierze, że syreny tak realnie i wyraziście funkcjonują w ludzkiej świadomości od co najmniej 3 tysięcy lat! Pierwszy opisał je Homer - już w VIII wieku przed naszą erą. Według jego wizji, były to postacie piękne, acz podstępne i niebezpieczne. Opiewając heroiczny powrót Odyseusza do domu,

Homer wspomniał między innymi, jak bohater poradził sobie z opłynięciem wyspy zamieszkaanej przez syreny. Uprowadzony, że dwa kobietokształtne stwory siedzą na nadbrzeżnej łące i wabią żeglarzy pięknym śpiewem, kazał załodze pozatykać uszy woskiem, siebie zaś przywiązać do masztu i nie zwalniać pod żadnym pozorem, nawet gdyby sam żądał. Potem, jako narrator epopei starej jak Biskupin, tak to relacjonował.

*„Syreny, widząc nawę gnaną w pełnym biegu,
Pieszczonymi głosami śpiew zawiodły taki:
- Zbliż się, chlubo Achiwów, Odysie z Itaki!
Zbliż do lądu! Postuchaj, jak śpiewamy cudnie!
Nikt tu jeszcze na czarnym nie przemknął się sudnie,
Żeby się nie zatrzymał na dźwięk naszych pieni;
Owszem, wszyscy śpiewaniem tym rozweseleni,
Oświeceni mądrością płyną sobie dalej.
Wiemy, co niegdyś Grecy, Trojanie doznali
Nieszczęść, z bogów naprawy, na Ilionu polach,
Wiemy o wszystkich ziemskich dolach i niedolach. -
Tak śpiewały, a we mnie już żądza się budzi
Słuchać jeszcze tych śpiewów; więc mrugam na ludzi,
By przyszli mię rozpętać. - Okręt pędzi chyżo...”*

Porozumiewawcze mrugnięcia dowódcy żeglarze zbyli jeszcze mocniejszym przytwierdzeniem go do masztu. Dzięki nim Odys uniknął tragedii. Gdyby nie to, kości jego i towarzyszy białaby obok mnóstwa innych, zalegających na plaży tej wyspy. Bo syreny pożerały zwabionych marynarzy.

W Odysei nie pojawiły się incydentalnie. Straszły też w opowieści o rejsie Argonautów, którzy na łodzi wyprawili się na koniec świata po złote runo. Niebezpieczny śpiew hybryd zgasił swoim „boskim” głosem Orfeusz, jeden z bohaterów wyprawy. Tak uratował pozostałych z załogi. A syreny uświadomiwszy sobie, że ktoś śpiewa piękniej, z rozpaczry rzuciły się na morskie skały.

Grekom, czy to pod postacią kobieto-ptaka, czy kobieto-ryby, kojarzyły się z demonami morskimi. Były uosobieniem „ciemnej strony mocy”, czyli śmierci. Nie tylko zwabiały i pożerały ludzi, ale towarzyszyły też umierającym w ich dro-

dze do Hadesu, czyli do Krainy Cieni. Malowano je na trumnach i grobowcach. Podobno w zaświatach pięknie śpiewały wybrańcom, którzy dotarli do Wysp Szczęśliwych.

Greckie mity podają różne liczby syren, różne ich pochodzenie i różne imiona. Najczęściej od dwóch do trzech. Przyjmując ich nomenklaturę, Syrenka Ustecka może nosić imię Teles, Rajdne, lub Molpe albo może Telksiope - Ligia, albo Pejsinoe - Partenope albo Aglaope - Leukosja

Wychodziły na ląd

Wiara w ich istnienie rozpowszechniła się także poza starożytną Helladą. Na terenach pogańskiej Europy wprost roilo się od nich. W mitologii Celtów, Germanów, Słowian i Bałtów, tak samo jak w greckiej, kobieto-ryby uwodziły śpiewem i wdziękiem zwłaszcza mężczyzn. W licznych legendach, których bohaterkami są te hybrydy, wciągały one swoje ofiary pod wodę i topiły. W słowiańskiej mitologii występowały pod nazwą brzeginek, wił, rusałek, nimf albo pańien wodnych. Nawet najwięksi demonolodzy i etnografowie gubili się w tych określeniach. Według jednej z rozpowszechnionych wersji (za Aleksander Brückner, Mitologia słowiańska i polska, Warszawa 1985), żyły w wodzie od jesieni do niedzieli rusalnej, czyli pierwszej po wiosennych Zielonych Świątkach, kiedy to w dawnych czasach odbywały się ludowe uroczystości ku czci zmarłych. Po tej niedzieli wychodziły z wody i zasiadały nad brzegami wód, najchętniej w gałęziach brzoź, kołysały się na nich i wabiły chłopców.

„Piękne to kobiety, z długimi, rozpuszczonymi włosami; póki z wody nie wyjdą, niebezpiecznie się kąpać, bo albo choroba jakaś napaść może, albo rusałki w głąb rzeki zataszczą i utopią; dusze dzieci zmarłych przed chrztem się w nie przeistaczają” – czytamy u A. Bruecknera.

Jedna z najbardziej znanych „brześciń” to mickiewiczowska Świtezianka znad jeziora Świteż. W Niemczech dziewiętnastowieczni romantycy rozsławili imię legendarnej Loreley, zwabiającej śpiewem i wdziękiem żeglarzy podróżujących po Renie. Stanowiła dla nich śmiertelne niebezpieczeństwo – takie samo, jak syreny z „Odysei” dla

Odyseusza. Pojawia się też motyw wychodzenia rusalek z wody i kuszenia mężczyzn, na przykład na potańcówkach. Okazuje się, że o ile normalnie, w wodzie, można było demona rozpoznać po zielonych włosach i sinych zębach, to „w sezonie”, czyli w lecie, kiedy zamieniał się w piękną i świetnie tańczącą dziewczynę – tylko po śladach wilgoci na obrębkach jej stroju.

Sobowtór z Minsen

Mity o syrenach rozpowszechniły się zwłaszcza w miejscowościach nadmorskich. Dlatego tropiąc początki usteckiego herbu, trafiłem na sobowtóra syrenki usteckiej we fryzyjskiej wsi Minsen, położonej w Niemczech, nad Morzem Północnym. Kobieto-ryba na takim samym jak w Ustce, niebieskim tle, jest bardzo podobna do tej z herbu usteckiego, ale jej prawa ręka, zamiast łososa, trzyma ostrzegawczo podniesiony palec wskazujący. Według legendy, spisanej jeszcze w XVI wieku, średniowieczni rybacy z Minsen złowili niegdyś w sieci syrenkę. Błagała, by ją wypuścili, lecz daremnie. Fryzowie chcieli zarobić na dziwie natury o blond włosach, z wydatnym, kobiecym biustem. Syrenka poprzysięgła zemstę. Dzięki przypadkowi zdołała uciec rybakom. Następnego dnia, a była to niedziela, gdy wszyscy mieszkańcy wsi modlili się w kościele, miejscowość nawiedził wielki sztorm i powódź. Gdy wierni zanosili modły do Boga, większość ich domostw została zmyta z powierzchni ziemi. Musieli przenieść wieś w inne miejsce, ale i tak jeszcze kilkakrotnie w dziejach zalewały ich fale wzburzane przez mściwą syrenę.

Od tamtej pory znane jest w Niemczech przysłowie, które przytacza się w sytuacjach, gdy coś idzie źle: *„Dat geiht ut, as dat Bären to Minsen”* („*Das geht aus, wie das Beten zu Minsen*” – „*to wychodzi, jak modły w Minsen*”).



Syrenka z Minsen. Nawiedzała „swoją” miejscowość powodzią. Podobny motyw występuje w legendzie o syrence z Trzęsacza, która z zemsty za porwanie przez rybaków zniszczyła wieś falą jak tsunami

2. Zwiastunka kataklizmu Stolpmuende?

Syrena od tysięcy lat uosabia złe moce. Tym razem o babo-rybie jeszcze straszniej...

Syrena Ustecka nie była dotychczas wiązana z żadną katastroficzną legendą. Wymyślił ją na początku XX wieku Wilhelm Granzow (1885-1945), malarz urodzony w Duninowie koło Ustki. Po studiach w Akademii Sztuk Pięknych, kilkuletnich wojażach artystycznych a potem dramatycznych przeżyciach wojennych, osiadł w latach 20. XX wieku na stałe w Ustce. To tutaj w styczniu 1922 roku odsłonięto monument „Umierający wojownik” autorstwa Josefa Thoraka (1889-1952) poświęcony ustczanom poległym w I wojnie. Śpiżowy młodzieniec w przedśmiertnej konwulsji zasłania się tarczą, na której chciano uwiecznić to, co najważniejsze w życiu każdego ustczanina. Granzow – bo to jego dzieło – nadał temu symboliczną formę herbu.

Mamy tu na pierwszym planie Syrenę unoszącą się nad falami morza, z dorodnym łososiem w prawej ręce.

Za nią – w tle – drugi ważny symbol; trójmasztowy żaglowiec, uzbrojony w armaty. Na dziobie żagłowca - napis „STO” - charakterystyczne oznaczenie ówczesnych kutrów i łodzi rybackich, bazujących w Ustce, skrót od niemieckiej nazwy miejscowości: „Stolpmuende” - ale zarazem niekonsekwencja: okręty wojenne, jakim ewidentnie jest trójmasztowiec (11 armat na każdej burcie!), nie miały takich oznaczeń.

Między syreną, a okrętem kolejny istotny znak: rozstawione sieci rybackie.

W herbie autorstwa Granzowa są więc symbolicznie przedstawione trzy główne źródła utrzymania mieszkańców Ustki. Żaglowiec – to port i żegluga, sieci rybackie i łosoś w ręku syreny to rybołówstwo, a śliczna syrenka – to urokliwe kąpielisko morskie.

Biuściata panna zamiast kościoła

Przez setki lat przed powstaniem herbu Granzowa Ustka była własnością Słupska i jako taka nie mogła posiadać odrębnego herbu. Po uzyskaniu samodzielności administracyjnej w 1874 roku gmina posługiwała się pieczęcią urzędową z herbem Królestwa Prus, czyli z wyobrażeniem czarnego orła z koroną, berłem i jabłkiem królewskim.



Dawna pieczęć usteckiej parafii. Granzow tworząc herb Ustki wyrzucił z niej kościelne „światło drogi” i zastąpił syreną

Spółeczność ustecka posiadała jednak symbol wyrażający jej odrębność. Chodzi o pieczęć parafii obejmującą Ustkę i Zimowiska. Symbolika pieczęci jest starsza od herbu z syrenką i według znawców heraldyki, mogła zainspirować Granzowa. Przedstawia na pierwszym planie wieżę obronną z której wytknięta jest żerdź z podwieszonymi dwoma naczyniami – pochodniami z płonąca smołą lub olejem. W tle morze, a na nim dwa trójmasztowce. Światło pochodni wskazywało żaglowcom drogę jak morska latarnia. Jej funkcję pełnił - według niepotwierdzonych przekazów - pierwszy ustecki kościół, który stał od 1356 do 1889 na środku dzisiejszego Skweru Jana Pawła II.

Świadczy o tym także napis nad okrętami: LUX VIAE, czyli Światło Drogi. A oto symboliczna wymowa pieczęci: ustecki kościół, wyobrażony jako latarnia morska, jest światłem wskazującym drogę do „portu zbawienia” żeglującym po Oceanie Życia.

Można uznać, że Granzow odwrócił wydźwięk treści pieczęci – usunął jeden z trójmasztowców i wieżę z pochodniami symbolizującą kościół, a zamiast niej wstawił postać syreny uosabiającą złe morskie moce.

Czy uczynił to świadomie? Komentarze dotyczące jego intencji, z których wynika, że „kąpiąca się” w morzu syrenka miała uosabiać kąpieliskową funkcję Ustki, wskazują że nie. Prawdopodobnie prac nad herbem nie poprzedził ani studiów dotyczących wymowy poszczególnych symboli, ani analizy przekazów miejscowego folkloru.

A jednak demon...

Ze złowróznej wymowy symbolu nie zdawali sobie sprawy chyba także ówcześni usteccy samorządowcy. To oni zawnioskowali do Berlina, aby herb zaprojektowany przez malarza stał się oficjalnym herbem Ustki. Zgoda nadeszła – nomen omen – t r z y n a s t e g o kwietnia 1924. I tak syrena trafiła na pieczęcie miejskie, listowniki, a także na znaczki kolekcjonerskie z herbami niemieckich miast.

Tragicznych następstw igraszek z demoniczną pół-kobietą twórca herbu i spokojne dotąd miasteczko Stolpmuende symbolicznie doświadczyli wkrótce potem. Malarz zginął w odmętach Bałtyku w wyniku działania „złych sił”, które rozpętały kataklizm II wojny światowej

A przecież wcześniej był człowiekiem, któremu szczęście sprzyjało! Pochodził z biednej rodziny, ale w szkole na jego talenty plastyczne zwrócił uwagę nauczyciel Kannenberg. Dzięki niemu - sponzorami Granzowa byli m.in. dziedzic z Zaleskich - von Below, minister finansów dr Jung, dyrektor berlińskiego muzeum rzemiosł artystycznych profesor Ewald, a nawet sam cesarz Wilhelm II. Ubogi chłopak z Duninowa mógł studiować w Berlinie, a potem podróżować po Europie.

Shczęście sprzyjało mu także podczas I wojny światowej. Uniknął internowania we Francji. Wcielony do niemieckiego wojska, walczył m.in. pod Reims. Wyszedł cało z hekatomby, choć z jego rodzinnej wsi poległo wówczas aż 82 mężczyzn (dla porównania: z Ustki 76). Doświadczył przeżycia w rodzaju cudu. Jak potem wspominał, pewnego poranka leżał w okopie na starym cmentarzu, masakrowanym przez długi, francuski ostrzał artyleryjski. Nagle ryk dział ucichł, przestały spadać pociski rozszarpujące żywych i umarłych. Ujrzał wschodzące słońce, odbijające się w cudownie ocalałym krucyfiksie oraz swoich kolegów, cało wychodzących z grobów.



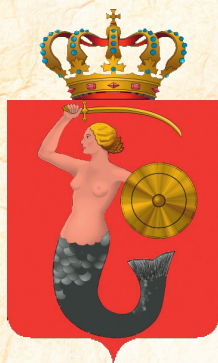
Wilhelm Granzow, twórca herbu Ustki. To on sprowadził do Ustki „demoną”. Potem zginął w odmętach Bałtyku

Życiowy fart zaczął go opuszczać właśnie po tym, jak wymyślił uesteką syrenkę. Gdy do władzy doszli naziści, stracił kilku klientów - niemieckich Żydów. Wyemigrowali nie odbierając prac i pozostawiając malarza bez zarobku.

Potem nadeszły lata II wojny i na koniec dramatyczna ucieczka przed nadciągającą Armią Czerwoną. Razem z towarzyszką życia, słupską dziennikarką, zdołał jeszcze wejść na statek płynący do zachodnich Niemiec. Na morzu rozległy się jednak dźwięki syren alarmujących przed atakiem radzieckich samolotów. W takich okolicznościach 60-letniego Granzowa i jego towarzyszkę pochłonęło lodowate morze.

Symptom warszawski

Syrena nie przyniosła też szczęścia niemieckiej gminie, która dopiero co zaczęła się nią pieczętować. Stolpmuende cieszyła się swoim herbem zaledwie 11 lat. W 1945 nadszedł jej koniec. Niemieccy uścianie w dramatycznych okolicznościach



Herb Warszawy. Gdy tylko nad brzegiem Wisły stanął pomnik uzbrojonej syrenki, na miasto spadł kataklizm II wojny światowej

musieli opuścić swoje domy. Na ich miejsce napłynęła ludność polska. Zewnętrznie była to nadal ta sama miejscowość, ale przedwojenną formę wypełniła nowa, polska treść. Tak samo pieczęć z syrenką: prawie się nie zmieniła, ale niemiecką nazwę nazwę „Stolpmuende” zastąpiła na niej polska „Ustka”.

Co ciekawe, podobnie dramatyczny „syrenkowy” symptom daje się zauważyć w dziejach Warszawy. Tam też w 1938 roku oficjalnie zatwierdzono herb z syreną. W kwietniu 1939 roku nad Wisłą stanął jej pomnik. Zaraz potem wy-

buchła wojna niezwykle tragiczna, zwłaszcza dla Warszawy. Zginęła znaczna część mieszkańców. Miasto zostało dosłownie zmiecione z powierzchni ziemi...

Pierwsze wyobrażenie herbu na tarczy „Umierającego Wojownika” - Syrena, to tylko symbol uestckiego kąpieliska? A może Walkiria, odprowadzająca uestckich wojowników w zaświaty?

3. Czy Syrenka Ustecka jest aniołem?

Przed wojną uestcki herb „obchodził się” bez legendy. Tę dopiero po II wojnie światowej stworzył kaszubski pisarz i poeta Franciszek Fenikowski. Jego opowieść zna w Ustce każde dziecko. Legenda wyjaśnia, skąd wziął się herb przedstawiający syrenę, czyli „Bryzgę Rosową”, bo tak Fenikowski nazwał ją w swoim utworze.

„Spójrz na herb tego miasta – czytamy w tej opowieści. - Jest w nim statek żaglowy/ I jest ryba grzywiasta/ W dłoniach Bryzgi Rosowej/ Dar bałtyckiej królowy/ Urodziwej jak ranek/ Którą wzruszył płacz rzewny/ najbiedniejszej z ustczanek”

Bajka, nie legenda

Opowieść o początku herbu Ustki nie jest jednak prawdziwą legendą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Franciszek Fenikowski po prostu ją wymyślił. Posiłkował się zapewne bajką Jana Christiana Andersena o „Małej Syrence” napisaną w I poł. XIX wieku, w której bodaj pierwszy raz kobiecorybia hybryda występuje jako pozytywna postać, zdolna do bezinteresownej miłości, pełnej poświęcenia dla drugiego człowieka. Mało tego: dzięki kaszubskiemu pisarzowi nasza syrenka przypomina też... biblijnego Archaniola Rafała...

Ale o anielskiej stronie Syrenki Usteckiej za chwilę. Ważniejsze, że nawet w bajce o niej objawiła się prawda o życiu dawnych ustczan. Ta sama, którą można znaleźć w zapiskach uestckiego pastora z lat 60. dziewiętnastego wieku.

Leczyła jak Archanioł

Franciszek Fenikowski cofnął się daleko przed rok 1922, kiedy to powstał herb Granzowa. Sięgnął aż do czasów żaglowców. Najpewniej zainspirował go herbowy trójmasztowiec. Oto więc mamy przed oczyma kaszubską osadę rybacką. Mieszka w niej biedna wdowa, Marusza Skoczkowa, która męża straciła przed laty na morzu. Ma ona jedyne go syna imieniem Gwido. Gdy już odchowala go, młodzian oświadcza, że rusza w ślady ojca. Wypłynie w

daleki rejs na statku „Wieloryb”, należącym do kupca Prospera. Gdy wróci, za zarobione pieniądze zapewni matce i sobie dostatnie życie.

Prośby, by nie ryzykował życia, nie skutkowały. Chłopak wypływa i... nie wraca. Jakby spełniły się najczarniejsze myśli wdowy. Opuszczona, przymiera głodem. Daremnie wychodzi na brzeg i wypatruje dziecka. Od tego traci wzrok.

Nie lituje się nad nią żaden z miejscowych bogaczy. Tylko Bryzga Rosowa, wymyślona przez Fenikowskiego, wzruszyła się jej losem. Codziennie podpływa do starowinki i obdarowuje ją świeżym łososiem. Doradza też, by przetarla żrenice rybią wątrową. I tak kobieta odzyskuje wzrok, by wkrótce potem cieszyć oczy szczęśliwym powrotem syna!

Właśnie motyw przywrócenia wzroku wygląda na zaczerpnięty wprost z Biblii, z księgi opowiadającej o wędrowcy Tobiaszu. Ów młodzian, syn starego, ociemniałego ojca, miał za zadanie uratować rodzinę przed nędzą i odzyskać pieniądze pożyczone niegdyś przez seniora mieszkańcowi dalekiego miasta, do którego wiodła niebezpieczna droga. Ojciec nie dałby sobie rady, bo od zmartwień stracił wzrok. Młodemu wędrowcowi pomógł natomiast nieznany mężczyzna.

Wcielił się weń archanioł Rafał. Nie tylko przeprowadził Tobiasza przez niebezpieczeństwa, ale pomógł także schwycić wielką rybę. Potem jej wnętrzności, nałożone na oczy, pomogły starcowi odzyskać wzrok.



Renesansowe przedstawienie biblijnej historii Tobiasza. Tu archanioł opiekuje się podróżnikiem jak w naszej legendzie syrenka wdową. Łososiowata ryba przywróci potem wzrok staremu ojcu, oczekującemu powrotu syna

Rafał długo nie ujawniał się, że jest archaniołem. Pomagał jako ktoś w rodzaju „tajnego współpracownika”. Dopiero na koniec wyjaśnił kim jest i kto naprawdę go przysłał.

Motywy przywrócenia wzroku spotykamy też w Nowym Testamencie i późniejszych opisach żywotów świętych oraz innych legendach chrześcijańskiego średniowiecza. Chrystus przywrócił wzrok ślepcowi, potem za jego sprawą ponownie zaczął widzieć Święty Paweł, ociemniały podczas swojej słynnej podróży do Damaszku. To typowa symbolika. Według Galla Anonima, ślepy miał być także polski książę Mieszko I. Odzyskanie wzroku oznaczało przyjęcie prawdziwej wiary. Ogląd rzeczywistości w optymistycznym świetle Ewangelii, którego źródłem jest Chrystus.

Tragedia wdowy Kalff

Ale w legendzie Franciszka Fenikowskiego syrena działa sama z siebie. Na pamiątkę historii z wdową Maruszą, uściskanie postanowili więc umieścić ją w swoim w herbie, razem z łososiem, na tle statku – kończy swoją bajkopisarz.

Naprawdę żadna Marusza Skoczkowa w Uście nie mieszkała. Lecz wdów po marynarzach, samotnie wychowujących dzieci, i nieczułych na ludzkie nieszczęścia bogaczy, zawsze było tu wielu.

Co najmniej jedna, podobna do herbowej legendy historia, zdarzyła się naprawdę. Dziwnym zbiegiem okoliczności, na zapiski o tym zdarzeniu trafiłem akurat w 2004 roku, gdy niektórzy usteccy radni zaczęli rozgłaszać, że herb miasta jest zły i trzeba go zmienić. Niestety, prawdziwa historia, w przeciwieństwie do bajki Fenikowskiego, nie kończy się happy endem.

Prawzorcem wdowy Maruszy okazała się wdowa Kalff. Przed 150 laty mieszkała w którymś z małych domków starej Ustki. Męża straciła na morzu w 1850 roku. Jej syn musiał mieć wtedy kilka lat. W 1861 roku liczył sobie zapewne kilkanaście wiosen. Bieda zmusiła go do zaciągnięcia się na statek jako chłopiec okrętowy. Służył na żaglowcu „Eduard”, który rankiem 24 lipca 1861 roku stanął na redzie usteckiego portu – tak samo, jak okręt z herbowej legendy.

11-osobowa załoga „Eduarda” miała załadować w Ustce drewno. W owym czasie wywożono je masowo z Ustki m.in. do Anglii. Rozbudowa kolei wymagała ogromnej liczby podkładów.

Zapewne wdowa cieszyła się z powrotu „Eduarda”. Syn przed ponownym wypłynięciem w morze odwiedziłby matkę, zostawił parę groszy na życie... Ale radość szybko przemieniła się w lęk, a potem w rozpacz. Oddajmy głos pastorowi:

„Wczesnym rankiem tego dnia podniósł się nagle straszny orkan. Wysoka fala zmyła z pokładu czterech ludzi. Sternik Bernhard Brand z Ustki natychmiast skoczył im z pomocą. Udało mu się wyrwać z objęć śmierci marynarza Schulza z Zimowisk. Pozostali trzej utonęli. Ich ciała znaleziono kilka dni później na plaży między Rowami i Smołdzinem. Byli to: marynarz Granzow z Poddąbia i dwaj chłopcy pokładowi Friedrich Schutt i Julius Kalff z Ustki. Schutt został pochowany przez swojego ojca, szypra Augusta Schutta na usteckim cmentarzu. Kalff był synem wdowy, której mąż także utopił się u wejścia do usteckiego portu jedenaście lat wcześniej. Zwłoki chłopca nie nadawały się do transportu. pochowano go nie w Ustce, lecz na cmentarzu w Smołdzinie.”

Hans też nie wrócił...

Tyle suchej relacji. Brak tu Bryzgi Rosowej i opisu rozpacz, w której wdowa istotnie mogła przecież wypłakać oczy. Lecz fakt, że w kronice znalazła się wzmianka o tej tragedii, może świadczyć, że była nią poruszona cała osada. Dlaczego bogaty szyper Szutt zdołał pochować syna w Ustce, a biedna wdowa Kalff nie? Obu chłopców znaleziono w tym samym miejscu i czasie. Wdowy pewnie nie było stać na pogrzeb.

Matka Juliusza nie dożyła czasów, gdy Granzow (nomen omen: imiennik jednego z kolegów jej syna) tworzył herb. A nawet gdyby... Mało prawdopodobne, by kiedykolwiek pomyślała, że jej smutne życie może być tematem legendy o godle Ustki.

Szkoda, że w legendzie zabrakło jej prawdziwego nazwiska. Ono przez kilka stuleci przewija się w dziejach Ustki.

Kalffowie byli chłopami i mieszczanami, spośród których wielu już w średniowieczu zaczęło zajmować się żeglugą. W kościele w Ustce jest obraz z 1674 roku. Przedstawia rodzinę Kalffów, klęczącą pod krzyżem Zbawiciela. Uwiecznieni w malowidle, w kościelnej ciszy modlą się od ponad trzech wieków za duszę Hansa Kalffa, 20-letniego syna, który 17 kwietnia 1672 roku utonął podczas katastrofy żaglowca, razem z całą załogą.



Gertruda Kalff z epitafium wiszącego niegdyś w usteckim kościele. W 1672 straciła na morzu syna, kilka lat później męża.

4. Skąd ty jesteś, ustecka Syrenko?

Po wojnie stworzono w mieście wiele wyobrażeń Syrenki, między innymi na elewacji budynku Brzegowej Stacji Polskiego Ratownictwa Okrętowego oraz na cokoliku usytuowanym przy fontannie na rogu ul. Marynarki Polskiej i Kosynierów. Już od kilku dziesięcioleci hybryda patronuje także jednemu z usteckich lokali gastronomicznych. W latach 80. kawiarnia i restauracja „Syrenka” zajmowały cały budynek naprzeciwko gmachu poczty. Kawiarnia znajdowała się na górnej kondygnacji, a na dole – gdzie teraz jest księgarnia – była restauracja serwująca m.in. schabowe z kapustą i tym podobne swojskie dania.

Wojna o „cycki syrenki”

U progu XXI wieku Syrenka Ustecka obrosła także legendą medialną. To za sprawą Doroty Paściak, miejscowej radnej. W 2004 roku ta plastyczka podczas obrad nad kształtem usteckiego herbu zwróciła uwagę na niewielki biust syreny. Zażądała powiększenia atrybutów kobiecości w godle. Wywiązała się dyskusja. Część radnych poparła wniosek, ale spierała się o kształt piersi, część proponowała, by herbu w nie zmieniać. Niecodzienne spory usteckich rajców „o cycki syrenki” odnotowały media w wielu krajach, nawet Chińskiej Republice Ludowej.

Na tej fali eksplodowały kolejne pomysły. Na przykład by zorganizować w Ustce „syrenkową” plażę topless, wybudować syrence pomnik, organizować zloty samochodów „Syrenka”... Firma piekarnicza Eugeniusza i Adama Brzóska w sklepie przy ul. Marynarki Polskiej zaczęła nawet sprzedawać wypieki w kształcie Syrenki Usteckiej, z uwydatnionymi piersiami.

Siostry ocalałe z katastrofy

Na wniosek radnego Piotra Wszółkowskiego, w sprawę zaangażowano autorytety heraldyczne. W 2005 roku herb faktycznie zmodyfikowano, przy okazji korygując biust kobieto-ryby. A gorące dyskusje obudziły na nowo zainteresowanie usteckim godłem. Tomasz Laskowski, ustecki przedsiębiorca i prezes Lokalnej Organizacji Turystycznej przeprowadził rekonesans wyszukując inne miasta „syrenkowe”. Odnalazł je m.in. w Paryżu, Bolonii, Wilnie, Petersburgu i w Helsinkach. No i oczywiście w Warszawie. Naniósł te punkty na mapę i... zdębiał! Po połączeniu tych ich liniami, tworzą one kontur kobieto-ryby!

Zaintrygowany, studiował temat. Odnalazł ciekawy wątek legend wyjaśniających, skąd wzięły się w Europie te hybrydy. Otóż wyspa, u brzegów której żyły syreny - być może ta sama, obok której w VIII wieku przed naszą erą miał przepływać Odys, a może Atlantyda - została zniszczona wskutek wybuchu wulkanu i trzęsienia ziemi. Syreny, które przeżyły kataklizm, rozpierzchły się. Kilka siostr (dwie?) przez cieśniny duńskie wpłynęło na Bałtyk. Jedna zatrzymała się na dłużej w miejscu, w którym dziś znajduje się port kopenhaski. Druga wybrała piaszczyste plaże w pobliżu Ustki. Tu miała jej odpowiadać zwłaszcza ciepła woda morska i obfitość łososi, rokrocznie wpływających z morza do Słupi. Trzecia, ponieważ nigdzie indziej nad Bałtykiem nie udało się już jej znaleźć równie pięknego miejsca, popłynęła dalej na wschód, aż do ujścia Wisły i następnie ruszyła w górę tej rzeki, docierając aż do Warszawy. Prezes LOT w Ustce jest obecnie przekonany, że syrenki ustecka i warszawska są siostrami.



Tu przez dziesięciolecia mieścił się legendarny lokal ustecki „Syrenka”. Teraz restauracja została zepchnięta do narożnika i nie serwuje już schabowych z kapustą. (ewentualne rysunki: pomnik syrenki warszawskiej, pomnik syrenki kopenhaskiej)

Z tarczą i mieczem

Final wędrowni tej „warszawskiej” znamy z innych legend. Najbardziej rozpowszechniona może wskazywać, że w rzeczywistości ta warszawska i ta ustecka to ta sama postać. Według tej opowieści, u południowych wybrzeży Bałtyku pojawiła się bowiem tylko jedna syrenka. Druga, która wraz z nią przyплыnęła z Atlantyku, upodobała sobie skały w cieśninach duńskich i tam pozostała. Ta, która wędrowała wzdłuż polskiego wybrzeża, dopłynęła w końcu do Gdańska i stąd Wisłą dotarła do podnóża dzisiejszego Starego Miasta, mniej więcej do miejsca gdzie obecnie znajduje się jej pomnik. Wyszła z wody na piaszczysty brzeg i postanowiła tu pozostać. Rybacy szybko zauważyli, że ktoś wzburza fale Wisły, płacze sieci i wypuszcza ryby z wężerzy, ponieważ jednak syrena oczarowywała ich swym pięknym śpiewem, nie wyrządzili jej krzywdy.

Inaczej postąpił bogaty kupiec. Gdy zobaczył syrenę i usłyszał jej śpiew, obliczył szybko, ile zarobi pokazując ten dziw natury na jarmarkach. Schwycił syrenę i przetrzymywał w szopie, bez dostępu do wody. Zawodzenia kobiecego demo- na usłyszał młody rybak. Uwolnił syrenę z pomocą miejscowych, a ta z wdzięczności, że mieszkańcy stanęli w jej obronie obiecała, że oni też mogą liczyć na jej pomoc. Dlatego w warszawskim herbie i na cokołach jest uzbrojona – w miecz i tarczę.

Ślady na Pomorzu

Jeśli przyjmimy wersję, że oba herby: uestecki i warszawski, są śladami zapomnianej wędrownki dwóch, albo jednej i tej samej syreny, to musimy poważnie się zastanowić, czy po tej wędrownce nie przetrwało więcej takich tropów. Otóż przetrwały. Tylko że rozrzucone i nigdy jeszcze dotychczas nie poddane detektywistycznej analizie. Na Pomorzu z syrenami związanych jest kilkanaście legend. Nikt nigdy nie zastanawiał się, czy różnorodne wodne postacie, o których opowiadają, mogły być w rzeczywistości tylko dwiema, albo jedną i tą samą.

Znajomość tych opowieści zawdzięczamy dawnym badaczom miejscowego folkloru. Pierwsi już 150 lat temu przemierzali piaszczyste drogi, wędrując od wsi do wsi. W czasach, gdy jedyną wieczorną rozrywką ludności było granie w karty, picie sznapsu i piwa w karczmach oraz słuchanie opowieści starych, doświadczonych rybaków i żeglarzy, badacze siadywali gdzieś przy paleniskach i spisywali zasłyszane historie.

Z tych zbiorów wiemy, że najwięcej legend o syrenach związanych jest z Pomorzem Zachodnim, zwłaszcza z wyspą Rugią i z okolicami Szczecina. Tam straszono nimi, tak jak w Minszen, uznawano za złe duchy. Na przykład syrena z Trzęsacza: z zemsty za uwięzienie przez rybaków, spowodowała kataklizm, w wyniku którego znaczną część wsi podmyły morskie fale. Pół kościoła runęło w otchłań (Za: Świrko S., *W krainie Gryfitów. Podania, legendy i baśnie Pomorza Zachodniego*, Poznań 1986, s. 282, na podstawie Błahij, H., *Ostatnia tajemnica zatopionych bogów*, Warszawa 1971).

Jeszcze gorszy los spotkał legendarną Winetę, lokalizowaną na Rugii. Zagładę tego miasta miała przepowiedzieć syrena później widywana na bagnach koło Kraśnika Koszalińskiego. Jak przekazał nam Martin Reepel, jeden z przedwojennych syrenologów pomorskich (*Pommernspiegel*, Stettin 1934), w każdy czwartek i w niedzielę między 11 i 12 w południe wychodziła ona z wody, aby przespacerować się po lesie.

5. U nas złym demonem był diabeł

Dziwne. Choć niektórzy niemieccy badacze uznawali podania o syrenach za relikty opowieści o słowiańskich rusalkach, im dalej na wschód Pomorza, gdzie słowiańszczyzna przetrwała najdłużej (nad Gardnem i Łebkiem aż do I połowy XX wieku!), tym tych podań mniej. Doktor Alfred Haas w wydanych w 1912 roku „Sagach Pomorskich” wspomina o pojedynczej syrenie, która żyła w dolnym biegu Parsęty. Zwabiała ludzi do wody i topiła ich. Gdy w lipcu 1907 roku utopił się tam pewien młodzieniec i jego ciała długo nie udawało się odnaleźć, po całej okolicy rozeszła się wieść, że to właśnie ten wodny demon porwał i uśmiercił chłopca.

Zło w przebraniu

Z terenów położonych bliżej Ustki zachowała się pamięć przede wszystkim o innego rodzaju demonach. Tu najczęściej straszono po prostu diabłem. Miał on szczególną skłonność do pojawiania się nad brzegiem morza między Ustką i Rowami, zwłaszcza w okolicach Dębiny. W Rowach pewnej Wigilii przebrał się za „Gnoska”. Tak miejscowi Kaszubi określali Świętego Mikołaja, czy też Gwiazdora roznoszącego prezenty. Zwiódł, porwał i rozszarpał dziecko rodziny z Rowów.



Dużo o diablach, mało o syrenach jest w miejscowych legendach. Czarci kamień w tej elewacji kościoła w Rowach to też sprawka Złego, który zwykle działał w przebraniu

Nocami diabeł pojawiał się na wydmowej drodze między Rowami i Dębiną. Jeździł w czarnej karocy zaprzężonej w cztery czarne konie. Pewnego razu karetę tę spotkał o północy pewien marynarz, który drogą tą wracał do domu, zapewne z usteckiego portu. Karoca zatrzymała się. Poproszono żeglarza, aby wsiadł. Wewnątrz żeglarz szybko zorientował się, z kim ma do czynienia, bo jednemu z pasażerów spod nogawic wystawały kopyta. Marynarz przeżegnał się, odmówił Ojcie Nasz. Zapamiętał, że powóz mknął bardzo szybko, aż wokół świszczął wiatr. Potem stracił przytomność. Ocknął się nad ranem w tym samym miejscu, w którym wsiadł.

Między Rowami i Dębiną diabeł pojawiał się także jako mężczyzna bez głowy. Pewnego razu napotkała go kobieta z Rowów. Wraciała z Dębiny, gdzie szukała swojego męża, lecz go nie znalazła. W ciemnościach napotkała pewnego mężczy-



Żony rybaków w drodze na targ. W czasie, gdy mężczyźni spotykali nad wodami syreny, kobiety ciężko pracowały

znę i myśląc, że to jej małżonek, zagadnęła go. Wówczas bezgłowy upiór porwał ją w taniec. Tak długo nią kręcił i wywijał, aż padła bez tchu. Rzekł wtenczas: „Da lieg’, altes aas!” („leż tu, stare ścierwo!“). - Gdyby kobieta nie zagadywała go, nic by jej nie zrobił – orzekli wówczas wioskowi znawcy demonów.

Czy wciąż czeka na odczarowanie?

Obecność w okolicy Ustki syren, lub jeśli wierzyć opowieściom o wędrowce syreny z Ustki do Warszawy, ślady bytności tu jednej i tej samej kobietoryby tylko szczątkowo odnotowują legendy zebrane dawno temu w miejscowościach położonych na wschód i na południe od ujścia Słupi.

Z legend zebranych ponad 120 lat temu przez Otto Knoop wynika, że pierwszy przypadek spotkania syreny z człowiekiem w okolicach Ustki miał miejsce nad brzegiem Skotawy, prawego dopływu Słupi. Rzeka ta uchodzi do Słupi

nieopodal Dębnicy Kaszubskiej (około 35 km na południe od Ustki). Rusałka miała tam ukazać się pewnemu chłopu. Lokalizacja: gdzieś koło Unichowa. Rusałka w odludnym miejscu szorowała tam piaskiem z dna rzeki wielki garnek. Chłop skorzystał z okazji. Pożyczył go od niej na wesele, lecz wbrew danej obietnicy, nie oddał. Dlatego niesłownego mężczyznę porwał diabeł. A rusałka podobno wciąż czeka na odczarowanie.

Łupawski trop

Podobna istota widywana była w dawnych czasach także w okolicach Damna w gminie Damnica (około 30 km na południowy wschód od Ustki), przy tzw. Górze Zamkowej. Dała ona pewnemu chłopu talara z przykazaniem, aby kupił jej za to trzewiki. Chłop poszedł do szewca i jak to chłop, wytargował buciki za cenę o dwa grosze niższą. Gdy zadowolony pojawił się ponownie w tym miejscu i spotkał rusałkę, ta strasznie go skrzyczała. Za to, że nie dał za buciki całego talara. Ów talar był elementem jakiegoś zaklęcia. Syrena powtarzała, że przez to będzie musiała czekać kolejne 900 lat na odczarowanie. Legendę spisano w II połowie XIX wieku, więc można przyjąć, że wodnica pokaże się ponownie za jakieś 750 lat. Syrenkę widywano podobno także w pobliżu Wolini. Miała się tam kąpać w jednym z bajorek, ale nie odnotowano, by kogoś skrzywdziła.

Dla Granzowa poszukującego „modelki” do herbu inspiracją mogły być przypadki, o których opowiadano w Rowach, 15 km na wschód od Ustki. Po zmierzchu niebezpiecznie było tam podobno płukać w Łupawie pranie lub sieci rybackie. Syrena podpływała tuż pod powierzchnię wody i porywała przedmioty w głębinę.

Wciąż szuka miłości?

Z tych legend można oczywiście wyciągać wnioski, że w rzeczywistości syren, czy rusałek, było dużo więcej i że gnieździły się w prawie każdej rzeczce i bajorze. Ale uprawdopodobniają one także pogląd przeciwny – że to ślady po jednej i tej samej syrence.

Z legend wiadomo, że kobietoryby były długowieczne. Ustecka Syrenka nie musiała więc płynąć do Warszawy drogą prostą. Miała czas. Mogła latami zwiedzać pomorskie wody, podpływając to w górę rzek, to z ich nurtem w dół, wpływając co jakiś czas na Bałtyk, zatrzymując się nad malowniczymi brzegami jezior, nawiązując relacje z miejscową ludnością. I być może robi to nadal. Już od dawna nie widziano jej w Warszawie. Z przekazów wynika natomiast, że wciąż nie znalazła tego, czego szuka – odczarowania.

Jej najlepszy portret psychologiczny stworzył 200 lat temu Jan Christian Andersen, Duńczyk mieszkający w okolicach działania kopenhaskiej syrenki. W baśni o „Małej Syrence” pokazał to czarno na białym: odczarować Syrenkę można tylko ofiarowując jej prawdziwą przyjaźń, uczciwość i miłość. Nie wolno jej niczego narzucać na siłę.



„To nie syrenka odpowiada za „stawek upiorów”

Okolo 1850 roku w Uście żywa jeszcze była legenda o stawku upiorów, zwanym w miejscowym dialekcie „Seekenmoor”, co oznacza małe jeziorko wśród bagien. Znajduje się ono w lesie po zachodniej stronie Słupi, na tak zwanym Uroczysku. Legenda opowiada o katastrofie karocy, którą wracał do domu z biesiady w którejś z usteckich karczm portowych dziedzic z Łędowa. Woźnicę, gdy przejeżdżał drogą do tej wsi, zwiodły w nocy błędne ognie. Wjechał do bajora, karetą wraz z dziedzicem i końmi utonąła i podobno do dziś leży na dnie stawku Seekenmoor. Miejsce to uważane było odtąd aż do początków XX wieku za nawiedzane przez złe moce. Błędne ognie, zwodzące na manowce, w mitologii kaszubskiej związane były zwykle z opowieściami o Gosku, zwanym też Purtkiem (od purtać – pierdzić. Diabeł w opowieściach kaszubskich charakteryzował się m.in. tym, że strasznie śmierdział). To rzecz dla tropiciela Syren znamienna. Wskazuje, że miejscowa ludność nie w Syrence upatrywała zagrożeń, ale bezpośrednio w diable.

Rozdział II. Szlak syrenkowy

6. Tu mógł mieszkać kapitan „Wieloryba”

Legenda o usteckim herbie, mimo że jak na legendę jest bardzo młoda, skrywa ziarno prawdy o życiu dawnych mieszkańców Ustki. Wszyscy byli z morzem za pan brat. Większość mężczyzn była żeglarzami. Nawet ci, którzy nie wypływali w rejsy, bo szyli żagle, albo budowali skutny, łowili na morzu ryby. Na połowy wypływały nawet kobiety. Ślady czasów opisanych tak pięknie w legendzie o wdowie Maruszy wciąż można znaleźć, spacerując ulicami miasteczka.

Fontanna przy ul. Marynarki Polskiej

Wędrówkę proponujemy zacząć od początku, to znaczy od miejsca, gdzie kiedyś zaczynała się Ustka. Tu, na rogu ul. Kosynierów i Marynarki Polskiej, w dawnych wiekach był skraj usteckiej wsi, ukazujący się najpierw przyjeżdżającym do Ustki od strony Słupska i Darłowa.

Tu rozjeżdżały się drogi. Główna, patrząc od strony wjazdu ze Słupska: ta lewa, dzisiaj zwana jest ul. Marynarki



Polskiej. Była najczęściej uczęszczana. Biegła równolegle do brzegu Słupi i prowadziła prosto do portu. Niję jeździły furmanki kupców wywożących towary przywiezione z dalekich portów przez żaglowce i tych, którzy dowozili ładunek mający być wywieziony.

W tym miejscu, u zbiegu tych ulic kiedyś był wjazd do wsi Ustka

Druga droga, odbijająca w prawo, była typową wiejską uliczką. Za chwilę nią ruszymy na syrenkowy szlak. Warto jednak zatrzymać się na tym dawnym rozstaju. Nie



Syrenka z cokoliku. Patrzy nie w tę stronę, co syrenka z oficjalnego herbu. Jakby chciała odwrócić twarz w stronę domu, o którym piszemy

tylko dlatego, że jest tu największy w Ustce sklep alkoholowy „Alkohole Świata”, pizzeria, a nieopodal punkt sprzedaży lodów. W małym skwerku stoi tu bowiem najstarsza ustecka fontanna. Prawdopodobnie powstała jeszcze przed wojną.

Zdobila ją kamienna skałka, zwieńczona figurkami dwóch jakby amorków, ale bez skrzydełek: chłopczyka i

dziewczynki. Brązowe rzeźby, zwane familiarnie przez ustczan „Jasiem i Małgosią” zaginęły pod koniec lat 70. Prawdopodobnie przywłaszczył je sobie któryś w ówczesnych prominentów. Poszukiwania figurek, podejmowane przez różnych pasjonatów, m.in. przez Jerzego Izdebskiego, radnego powiatowego z końca lat 90., kończyły się jednak fiaskiem. Obecne betonowe rzeźby to efekt jednego z plenerów plastycznych, zorganizowanych około 1978 roku w Ustce.

Ciekawostką jest cokolik między fontanną, a ul. Czerwonych Kosynierów. Znajduje się na nim mosiężna plakietka z wyobrażeniem usteckiego herbu. Jakby na pamiątkę faktu, że tu niegdyś znajdował się wjazd do wsi.

Wiejskie „kamienie” kapitanów

Skręcamy w ul. Czerwonych Kosynierów i po przejściu około 50 metrów stajemy przed domem nr 23, zbudowanym w 1804 roku przez kapitana Petera Haase. O



Oryginalny dom szachulcowy przy ul. Kosynierów 23. Na początku XIX wieku zbudował go jeden z usteckich kapitanów

roku budowy dowiadujemy się z belki nad drzwiami. Ktoś dawno temu wyrył na niej znaki „18 P.H. 04”

To przykład domu bogatego ustczanina, a takimi byli właśnie kapitanowie kupieckich żaglowców, których portem macierzystym była Ustka. Tu mógł mieszkać np. dowódca legendarnego „Wieloryba”, trójmasztowca



W roku 1804, kiedy wyryto na belce ten inicjał, w dalekiej Francji Napoleon koronował się na cesarza.

uwiecznionego w herbie i w legendzie o Syrence Usteckiej. Przypomnijmy: na tym statku, należącym do kupca Prospera, wypłynął w daleki rejs syn wdowy Maruszy i długo nie wracał. Od

tego zaczyna się ustecka legenda herbowa.

Tacy kapitanowie wywozili z Ustki żaglowcami najczęściej płody rolne: ziarno, spirytus, a także drewno, beczki, smołę, wędzone łososie, piwo oraz zajmujące niewiele miejsca, lecz bardzo drogie bursztyny. Towary te trafiały do Skandynawii, zachodnich Niemiec, Holandii oraz do Wielkiej Brytanii i do Francji. Bursztyny – nawet do Turcji i Afryki.



Kamienny słupek na tym skrzyżowaniu to cokolik w herbie Ustki. Dziwnym trafem stanął akurat na dawnym rozjeździe głównej drogi do portu i drogi wjazdowej do zagród usteckiej wsi. Za nim widać Dom Kapitana Haase.

Przywozili natomiast solone śledzie (z Danii i ze Szwecji), wina francuskie, niemieckie narzędzia, przyprawy zamorskie, kawę, herbatę, później także angielski węgiel. Zarabiali krocie, toteż stać ich było na domy prawie takiej wielkości, jak kamieniczki kupieckie w mieście. Tylko że budowane po wiejsku, o konstrukcji szkieletowej, z drewna, trzciny i gliny. W Ustce najczęściej mieszkali w centrum osady, przy starym placu kościelnym, przez co ten kwartał starej Ustki nazywano potocznie kapitańskim zaułkiem.

Tynkowali ze wstydu

Dom, o którym mowa, jest w tym względzie wyjątkiem. Nie stoi w zaułku, czyli przy Skwerze Jana Pawła II, lecz przy ul. Czerwonych Kosynierów. Piękny w swej prostocie i okazały: dwie kondygnacje i strych. Jak to w „fachwerku” - najpierw powstał drewniany szkielet z belek, potem puste przestrzenie („fachy”) wypełniono trzciną oplecioną na drewnianych kółkach i oblepiono gliną. Takie budynki są chlubą skansenu w Klukach i magnesem, który przyciąga turystów do Swołowa, uznanego za wieś Europejskiego Dziedzictwa Kulturowego.

Dawna Ustka jako miejscowość portowa na pewno miała jeszcze ciekawszą fachwerkową architekturę. Niestety, zamożniejsi ustczanie już w drugiej połowie XIX wieku wyburzali szachulec i w miejscu starych budowali domy murowane, albo tynkowali „fachwerk” wstydząc się go jako symbolu zacofania i biedy. Otynkowano też domy przy ulicy Kosynierów. Dlatego właśnie ten z numerem 23, przylegający do obecnego Domu Kultury, uchodził za zaledwie stuletni.

7. O kapitanie, który „wypłynął” po 200 latach

W poprzedniej odsłonie napisaliśmy, że w szachulcowym domu przy ul. Czerwonych Kosynierów 23 mógł mieszkać kapitan „Wieloryba” o którym wspomina legenda o Bryzdzie Rosowej i wdowie Maruszy. W rzeczywistości mieszkał w nim inny kapitan. Nie bajkowy, lecz prawdziwy. Z krwi i kości.

Po tym, gdy wstrzymano rozbiórkę zabytku, zajrzeliśmy do słupskiego oddziału Archiwum Państwowego w Koszalinie i do starej literatury, by szukać odpowiedzi, kim był ów tajemniczy P.H. I tak z mroków historii wypłynęła nam sylwetka kapitana Petera Haase.

Syn najbogatszego usteckiego rodu

W „spisie właścicieli domów i gruntów w Ustce” z 1817 roku, czyli z czasów 13 lat po powstaniu budynku, figuruje dziesięciu posiadaczy z nazwiskiem na „H” (domów było wówczas w Ustce 75). Ale tylko jeden z nich miał inicjały „P.H.”. To był szyper Peter Haase, urodzony 8 lutego 1770 roku, zmarły 18 czerwca 1839 r. Inni na „H” raczej nie wchodzi w grę. Albo nie pasują imiona, albo status społeczny, albo wiek. Kapitan Paul Erdmann Hübner, rocznik 1767, używał dwóch imion i wiadomo, że ożenił się już w styczniu 1791 roku, więc jeśli w ogóle zbudował w Ustce dom, to pewnie jakieś dziesięć lat wcześniej. Poza tym w styczniu 1809 roku utonął pod Brewig i nie zostawił dziedzica, który „kultywowałby” inicjały na belce. W spisie z 1817 roku brak już jego nazwiska. Śpiewaka kościelnego Henniga, czy wdowę Heidemann nie stać byłoby zaś na wystawienie i życie w tak dużym budynku, prawdopodobnie jednym z najbardziej okazałych w całej ówczesnej wsi.



Napis na belce, dzięki któremu nazwisko Petera Haase po dwustu latach znowu „wypłynęło” w Ustce

A Petera Haase i owszem. W 1804 roku był w kwiecie wieku. Liczył sobie 34 lata i na pewno należał do najbogatszych mieszkańców Ustki. Pochodził w rodziny szyprów i kapitanów statków, wzmiankowanej w Ustce już w XVI wieku. Jego

ojciec Martin był długoletnim wójtem, czyli swego rodzaju słupskim namiestnikiem, zarządzającym ustecką wsią. Też był szyprem. W 1787 roku, gdy Peter miał 17 lat, ojciec miał w Ustce statek „Julianne Dorothea” (jeden z 11 bazujących w porcie) Przewodniczył też usteckiej Radzie Kościelnej. Umarł w lipcu 1803 roku, na rok przed powstaniem budynku przy ul. Kosynierów.

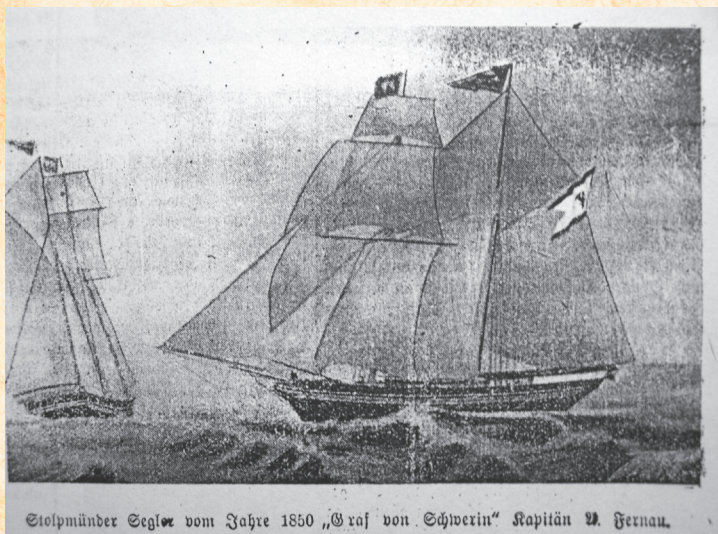
Akurat w tym czasie jego syn Peter zaczął inwestować. Widać to w księgach wieczystych. Jeszcze w marcu 1803 roku kupił od kapitana Johanna Fritzlaffa za 600 talarów działkę zabudowaną jakimś budynkiem, ubezpieczonym od pożaru na 300 talarów. W tym samym czasie mógł też zbudować okazały dom na peryferiach ówczesnej osady. Na takie domy w tak zwanym Kapitańskim Zaułku zapewne brakowało już miejsca.

Peter miał pieniądze, bo w 1803 roku dostał spadek po ojcu. Był też pewnie świeżo po ślubie z 11 lat od siebie młodszą Eleonorą, córką żeglarza Davida Kruse. W 1804 roku ustczanka miała 23 lata i w perspektywie całą serię porodów.

Biznesmeni i buntownicy

Peter w dokumentach raz określany jest jako szyp, innym razem – jako kapitan. Szyprami nazywano kapitanów mniejszych jednostek. Mamy o nim szczątkowe informacje. Ani jeden „kapitan Haase” nie występuje w spisach właścicieli statków przed 1840 rokiem. Dopiero wtedy niejaki Beniamin Haase stracił na morskim szlaku do Petersburga bazujący w Ustce słup „Mały Fritz” o ładowności 40 łasztów (80 ton). Zapisano, że nie dotarł do celu, więc należy go „skreślić”.

Może więc Peter żeglował na jednostce gdańskiej, albo bazującej w jeszcze innym porcie, a może, choć nominalnie był kapitanem, nie ryzykował własnym życiem i zajmował się handlem? W 1823 roku jakiś „spedytor” Haase był jednym z czterech ustczan, którzy za walkę o pastwiska z mieszkańcami Przewłoki, wspieranymi przez możny Słupsk, ukarani zostali przez władze słupskie kilkudnio-



Usteckie żaglowce. Podobny przetrwał w usteckim herbie

wym aresztem. Jeśli nie był to kapitalista z domu przy ul. Kosynierów, to na pewno któryś z jego licznych usteckich krewnych.

Stary poemat o usteckim żeglarzu

Poszukując informacji o Peterze Haase, zaglądaliśmy też do przedwojennych gazet. Cóż za przypadek! Trafiliśmy na artykuł z początku lat trzydziestych XX wieku o tym, że pewien mieszkaniec Ustki znalazł na strychu stary brulion z jakimś tekstem zapisanym wierszem. Zaniósł go do redakcji regionalnej gazety, a ta przedrukowała utwór. Dzięki temu dotrwała do naszych czasów przez ponad 200 lat treść poematu, który w 1800 roku jakiś nieznany lokalny poeta ułożył na cześć Petera.

Utwór opowiada, jak mieszkańcy Ustki ratowali załogę angielskiego żaglowca, który rozbił się na mieliźnie pod Poddębem, około 7 km plażą na wschód od Ustki. Ekspedycję ratowników zorganizował i kierował nią właśnie Peter, wówczas 30-letni. Gdy uratowani Anglicy rzucili się dziękować wybawcom, którzy dla nich brnęli w sztormowej zawiei kilka kilometrów po plaży i narażali w falach swoje własne życie, ustecki szyper przemówił do nich, że tylko spełnia swój obowiązek. „Wyrównuję dług – mówił w poemacie. - Dwa razy już sam przeżywałem podobne katastrofy. Gdy mój statek rozbił się u wy-

brzeży wysp Anglii, to Brytyjczycy ratowali mnie nie pytając o nic."

„Mam wymienić, jak się zwał? – pyta dalej XVIII-wieczny uestecki poeta. – Pewnie wielu z was go zna/ Zwie się on wszak Peter Haase/ Ród ten każdy w Ustce wskaże” (w oryginale: „Soll ich nun den Kuehnen nennen?/ Mancher von euch mag ihn kennen/ Peter Haase ist sein Name/ Aus dem Alt-Stolpmuend’schen Stamme“)

Peter umarł w 1839 roku. Jego spadkobiercami byli kapitan Eduard Albert Haase, urodzony w 1814 roku i córka Berta, żona uesteckiego kapitana Johanna Georga Friedricha Hildebranda. Podzielili się majątkiem w taki sposób, że Hildebrandowie przejęli nieruchomość leżącą prawdopodobnie przy głównej ulicy (czyli przy Marynarki Polskiej). Kapitan Haase junior mógł zaś zatrzymać wówczas dom przy Kosynierów i dbać o ojcowskie inicjały na belce, by nie zarosły mchem i przetrwały dla potomności. Syn Petera umarł podczas rejsu w Linsne w Szwecji. Pochowano go w 1866 roku na cmentarzu w szwedzkim Soederham. Po nim dom mógł odziedziczyć kupiec Eduard Haase, wnuk Petera, urodzony w 1855 roku i zmarły w 1929 r. I to pewnie on otynkował budynek. Jego 56-letnia córka tuż przed wybuchem wojny była urzędniczką pocztową w Słupsku.

8. Niezwykłe dzieje zwykłego skweru

Przez pół tysiąca lat biło tu serce średniowiecznej osady portowej. Trudno uwierzyć, że pod trawnikiem Skweru Jana Pawła II wciąż spoczywają doczesne szczątki dawnych uestczan. Nielatwo to przychodzi zwłaszcza w sezonie, gdy młodzi ludzie siedzą tu na ławeczkach i prowadzą wesołe rozmowy, zajadając lody.

Doprowadza nas tu spod domu kapitana Haase ulica Czerwonych Kosynierów, czyli dawna Mittelstrasse. U jej wylotu



Zdjęcie ukazujące najstarszy uestcki kościół, rozebrany w 1889 roku. Gdyby Marusza istniała, właśnie tu, jak inne uesteckie kobiety, modliłaby się o powrót syna

na ul. Marynarki Polskiej przez pół tysiąca lat stał kościółek pod wezwaniem Św. Mikołaja.

Dziś jest skwer miejski. Od niedawna patronuje mu zmarły w 2005 roku papież Jan Paweł II. Uwagę zwracają zwłaszcza rosnące tu stare lipy. Linia drzew wciąż wyznacza z grubsza kontury świątyni, nie istniejącej od 1889 roku, kiedy to została rozebrana.

Obok zachowało się jeszcze kilka starych domów, jest też kilka replik chałup z pruskiego muru. W tym miejscu mieszkali niegdyś najbogatsi mieszkańcy Ustki, kapitanowie żaglowców. Dlatego miejsce to potocznie zwano kapitańskim zaułkiem.

Marusza w Świętym Mikołaju

Gdyby Gwido i jego matka istnieli w rzeczywistości, tu właśnie, starym usteckim zwyczajem, zanosiliby do Boga dziękczynne modły o szczęśliwy powrót z podróży. A może także o pomoc opiekuńczego anioła, który w legendzie wcielił się w postać syrenki.

Kościółek został poświęcony dokładnie na Św. Jana Chrzyciela, czyli 24 czerwca 1356 roku. W starej, bo jeszcze XIX-wiecznej literaturze niemieckiej, można znaleźć przekaz, że biskup z Kamienia Pomorskiego osobiście przybył poświęcić budowlę i że towarzyszyło mu przy tym 12 polskich biskupów. Co najmniej do 1535 roku kościół był katolicki. Nosił wezwanie Św. Mikołaja, patrona kupców i żeglarzy. Kult tego świętego był rozpowszechniony w miastach zrzeszonych w Hanzie, związku kupieckim, w którym dominowali Niemcy. Na podstawie symboliki pieczęci kościelnej przypuszcza się, że z wieży kościoła, który stał w tym miejscu, wywieszano niegdyś światło nawigacyjne dla żeglarzy (zob. ilustracja).



„Światło drogi”. Taki napis widnieje na pieczęci parafii obejmującej Ustkę i Zimowiskę. Może to echo czasów, gdy kościółek pełnił funkcję latarni, światłem wskazującą drogę żaglowcom, a może symboliczne nawiązanie do Chrystusa. Ciekawy jest kontrast między starą pieczęcią i starą legendą o błędnych światłach po zachodniej stronie Ustki.



Fragment planu Ustki z 1831 roku. Widać na nim m.in. kształt dawnego kościoła. Wejście znajdowało się od strony portu.

Cuda i groza

Świątynia podobno rozmiarami przypominała bliźniaczą, do dziś stojącą w Zimowiskach. Marusza i Gwido, jako ustczanie od pokoleń, mogli słyszeć, że w XVII działa się tu dziwy, które głęboko poruszyły nawet ówczesnego, miejscowego pastora. Będąc pod wrażeniem tego, co się działo, zapisał on gęsim piórem w parafialnej księdze, że w okresie Wielkiego Tygodnia w 1647 roku, w nocy, gdy kościółek był zamknięty i pusty, ołtarz rozświetlił się sam z siebie, od czego pozapalały się świece.

Co ciekawe, drugi raz takie samo zjawisko samostnego rozświetlenia ołtarza i zapalenia świecy wydarzyło się w tym usteckim kościółku 17 listopada 1648 roku, także w nocy.

Pastor zanotował nazwiska godnych zaufania świadków, którzy zaobserwowali te dziwne zjawiska i osobiście gasili świeczki. Jednym z nich był zięć Martena Stoeffersa, drugim

– Tewes Sassen, przewodniczący rady parafialnej. Sceneria tych dziwnych zjawisk musiała być niesamowita.

Dookoła świątyni nie było wówczas latarni. Całą wieś spowijały jeszcze przysłowiowe mroki średniowiecza. A kościółek przez pół tysiąca lat okalały nagrobne krzyże. Tu znajdował się bowiem także ustecki cmentarz. Metr pod darnią do dziś leżą tu szczątki kilku tysięcy osób, w tym ofiar katastrof morskich. Żeglarzy, którzy nie mieli tyle szczęścia, co legendarny Gwido.



Skwer Jana Pawła II, zdjęcie z 2006 roku, jeszcze sprzed przebudowy ulicy. W tym miejscu w połowie XVII wieku działa się dziwne rzeczy, spisane przez pastora.



Zdjęcie wykonane w latach 50. minionego wieku. Przedstawia jeszcze oryginalne domy usteckich kapitanów, którym zaulek zawdzięczał nazwę.

Marusza i syn mogli wiedzieć więcej o pastarze, który opisał te cuda. Na pewno wspominano go tutaj przez długie lata. Wszystko wskazuje na to, że był to Christian Wirker. Wiadomo o nim, że sprawował urząd pastora w Zimowiskach i w Ustce od 1639 do 1655 roku. Ustczanie i władze kościelne podejrzewały go chyba czary i kontakty z ciemnymi siłami. Swoje listy podpisywał „Christianus Wirker, pastor w Sodomie”. Za to w 1655 roku miał on zostać ścięty i spalony.

Cmentarz przemówił...

Przypomnijmy: mimo że wokół budowli były groby, tuż obok biegła droga do portu, a wokół placu budowali domy najbogatsi ustczanie: szyprowie i kapitanowie żaglowców handlowych. Dlatego miejsce to potocznie nazywano Kapitańskim Zaułkiem.

W połowie XIX wieku średniowieczny kościółek, obliczony na 200 osób, stał się za mały, by pomieścić wiernych. Dlatego zbudowano nowy przy ul. Wyszyńskiego, a ten rozebrano i na jego miejscu urządzono skwer. W 1995 r. ustawiono tu koło młyńskie, pochodzące prawdopodobnie z wiatraka, który do początków XX w. stał nieopodal promenady. A jesienią 2006 roku, podczas renowacji nawierzchni ulicy, odkopano szczątki ustczan pochowanych niegdyś na tym cmentarzu. Naukowcy, którzy przebadali kości, orzekli, iż dawni mieszkańcy Ustki byli świetnie odżywieni. A więc nieźle się im powodziło. Jednak niektóre kości nosiły ślady reumatycznych deformacji. Nadmorska wilgoć, chłód, być może także praca na łodziach i żaglowcach, odcisnęły więc piętno na doczesnych szczątkach dawnych mieszkańców osady.



Szcątki dawnych Ustczan, odkopane w 2006 roku na dawnym placu kościelnym. Tu spoczęła m.in. prawdziwa wdowa Kalff, uwieczniona na XVII-wiecznym obrazie, przechowywanym w kościele Najświętszego Zbawiciela.

9. Duch starego portu

Z placu, przy którym stał niegdyś kościół, widzimy już port. Ulica Marynarki Polskiej opada w dół, ku kanałowi, czyli ku obetonowanemu z obu stron korytu rzeki. Po lewej stronie widzimy willę z charakterystycznymi wieżyczkami, typowymi dla budynków zaprojektowanych jeszcze w dobie secesji, czyli na przełomie XIX i XX wieku. Mieści się w niej od lat Urząd Celny. Co ciekawe, prawdopodobnie działał tu także przed wojną.

Gdzieś tu, pod numerem 1, mieszkał przed wojną Wilhelm Granzow, twórca usteckiego herbu, o którym pisaliśmy wyżej, że to on sprowadził do Ustki syrenkę.

Przystań z metryką

Budynki, które tu stoją, mają fundamenty znacznie starsze niż XIX-wieczne. To przecież serce portowej wsi o średniowiecznej metryce. Parcele w tym miejscu były nieprzerwanie zabudowane co najmniej aż od XIV wieku (patrz: plan portu z 1831 roku).

W porcie zwraca uwagę także okazały budynek z czerwonej cegły. To jeden z najstarszych spichlerzy portowych. W tej postaci istnieje od lat 80-tych XIX wieku. Przechowywano w nim ziarno, które załadowywano na żaglowce i parowce, wywożące z Ustki płody rolne do portów zachodnioniemieckich, skandynawskich i angielskich.



W dawnych czasach główka wschodniego falochronu znajdowała się mniej więcej tu, gdzie dziś strzeże Ustki przed tsunami św. Nepomucen. Zachodni falochron był tam, gdzie teraz żółci się stalowa ostroga helska



Widok na port w połowie lat dwudziestych minionego wieku. Na pierwszym planie pale, do których cumowano łodzie.

Składa się z trzech części. W tej najbliższej portu mieści się teraz dyskoteka Viva, dalej jest Hotel Oleńka, a jeszcze dalej – Bałtycka Galeria Sztuki, do której warto wejść. Oprócz ciekawych wystaw, warto obejrzeć samo wnętrze. Zwłaszcza drewniane belki, na których wspiera się wewnętrzna konstrukcja spichlerza.

Spod zachodniej ściany tego magazynu, od kanału, widać już latarnię morską i oba mola. Te obecne zbudowano w latach 1899 – 1903, ale pierwsze kamienne falochrony istniały w Ustce już w połowie XIX wieku.

Odprawa żaglowca „Wieloryb”

Wcześniej, przez pół tysiąca lat, zapewne także w czasach, gdy mieszkał tu legendarny Gwido, mola były o wiele mniejsze, zbudowane z drewnianych skrzyń, wypełnionych kamieniami. Także i nabrzeże. Dziś szerokie, wyasfaltowane, wtedy zbudowane było z bali i desek. Konstrukcja była tak delikatna, że obowiązywał surowy zakaz cumowania żaglowców bezpośrednio do kei. Ruchy statków na fali i powstające w ten sposób naprężenia lin zagrażałyby stabilności portowych budowli. Do cumowania służyły więc specjalne pale wbijane w dno.

Wejście do portu było wąziutkie. Miało szerokość koryta rzeki, bo zachodni falochron znajdował się tu, gdzie dziś jest ostroga helska. (patrz: plany portu). Ale odległości się nie zmie-

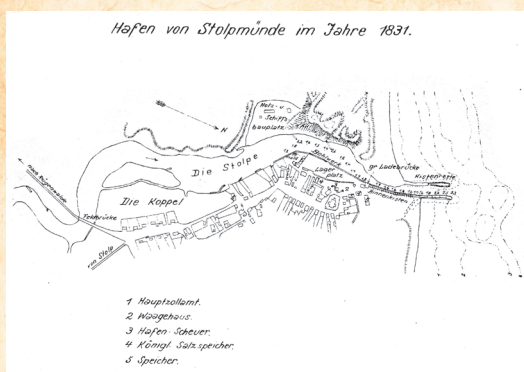
niły. Gdy legendarny Gwido i inni żeglarze z „Weloryba” wychodzili z kościoła, już od wyjścia widzieli statki w porcie i ich wysokie maszty. Gwido, gdyby faktycznie żył, już od kościelnego przedsionka dostrzegłby więc „Wieloryba” załadowywanego towarami przy wschodnim nabrzeżu portu. I usteckiego wójta, kręcącego się przy żaglowcu. Wójt pełnił rolę namiestnika Słupska w Ustce. Sprawdzał, co jest przywożone i wywożone i czy od tego uiszczono opłaty „panom portowym”, które ci inkasowali w imieniu słupskiej rady miejskiej. Kapitan musiał mieć na wszystko kwity. To, co zostało przemilczane, podlegało przepadkowi na rzecz rady miejskiej Słupska.

Kupcy też pewnie stali na nabrzeżu. Doglądali do ostatniej chwili załadunku towarów. Może była tu też wdowa Marusza? Matki, żony i córki na pewno przychodziły pożegnać przed niebezpieczną podróżą najbliższych. Zwłaszcza gdy wypływali w daleki rejs pierwszy raz.

Handel w szarej strefie

A potem oczekiwali tu na ich powrót. Wejściu statku, także obcego, zawsze towarzyszyły emocje. Zgodnie ze statutem portu z 1640 roku, który pewnie sankcjonował obyczaj utarty w Ustce od wieków, gdy żaglowiec stawał przed wejściem do portu i jego załoga uderzała w dzwon pokładowy, mieszkańcy mieli obowiązek, pod karą 5 guldenów, stanąć na falochronach, chwycić rzuconą ze statku linę i wciągnąć ten statek do portu. W zamian szypier żaglowca po wpłynięciu do portu zobowiązany był zafundować ustczanom beczkę piwa. Szyprowie mniejszych jednostek, o ładowności mniejszej niż 30 ton, powinni byli postawić za to pół beczki.

Była więc okazja do świętowania. Załogi żaglowców miały powód do radości, że udało się wejść do portu. Zważywszy na wąską szparę między molami i pływizny, wcale nie było to pewne – i dlatego potrzebna była pomoc miejscowych. A ustczanie pili piwo i biesiadowali z żeglarzami w którejs z licznych we wsi karczem. W tych karczmach niektórzy z nich nielegalnie, bo bez pozwolenia Słupska, zawierali z obcymi umowy handlowe. Albo



Plan usteckiego portu z czasów żaglowców. W miejscu, gdzie dziś są portowe knajpki znajdował się lagerplatz, czyli plac składowy. Pewnie to przy nim załadowywany był legendarny „Wieloryb”

korzystnie coś sprzedawali, albo kupowali w celu dalszej odsprzedaży, z ominięciem podatków. Dziś nazwalibyśmy to szarą strefą gospodarczą. Wtedy ocierało się to o kontrabandę. Informacje z połowy XVIII wieku mówią, że takich karczem było w Ustce liczącej wówczas w sumie około 50 domów aż 6!

Majątek na przemyśle

Tradycje nielegalnego, nieopodatkowanego handlu trwały w Ustce przez stulecia. Dlatego w dobie wojen napoleońskich ustczanie niejako z przyzwyczajenia obchodzili ograniczenia nałożone przez Francuzów na handel z Anglią, czyli blokadę kontynentalną. Od 1807 roku do żadnego z portów pruskich nie miał prawa zawinąć angielski statek, żaden statek nie miał też prawa zabierać towarów, które mogłyby trafić do Anglików, ani przywozić towarów z Anglii.

Ale mimo to uszczanie handlowali z Albionem. W latach 1809 – 1810 częstym gościem na redzie usteckiego portu była fregata dowodzona przez angielskiego kapitana Rossa. Przywoziła towary luksusowe z brytyjskich kolonii: tytoń, cukier, herbatę, kawę, zagraniczne alkohole. Ross chętnie wymieniał je na żywność pochodzącą z pomorskich gospodarstw. Ci, którzy szli na tę wymianę, sprzedawali następnie szmuglowane towary na lądzie z ogromną przebitką.

Ponieważ Ross nie mógł zwinąć do Ustki, nocami, a nawet w biały dzień do jego fregaty podpływały wyładowane żywnością uesteckie łodzie rybackie. Wielu miejscowych zbiło na szmuglu ogromny majątek, tak jak Gwido, który po jednym rejsie stał się bogatym człowiekiem...

10. Mała szopa wielkich nadziei

Z legendy wiemy, że wdowa Marusza bardzo długo nie mogła doczekać się powrotu „Wieloryba”. Miała powody do zamartwiania się. Żeglowność po Bałtyku było niebezpieczne. Wielu ustczan nigdy nie wróciło z rejsów. Pozostawiali osierocone dzieci i wdowy.

Obrazują to statystyki, W co dziesiątym domu usteczkim w połowie XVIII wieku mieszkały wdowy po zmarłych żeglarzach. Sto lat później zaczęto prowadzić rejestry



Czerwona szopa dziś. Nadal jeszcze służy ratownikom morskim.

katastrof. Wynika z nich, że w latach 1845 – 1945 na Środkowym Pomorzu miało miejsce aż 600 takich wypadków. To oznacza, że średnio w każdym roku rozbijało się tu około 6 statków. Wcześniej, przed 1845 rokiem, katastrof na pewno było jeszcze więcej.

Ukryty budynek

Jeszcze dziś w porcie stoi budynek, który jest nieмым świadkiem tych dawnych dramatów. To „czerwona szopa”. Czerwona dlatego, że wzniesiono ją z czerwonej cegły.

Nie powinniśmy jej ominąć, a łatwo ją przeoczyć, bo skrywa się w jakby zapomnianej, portowej uliczce. Warto cofnąć się w głąb dawnej przystani, za budynek Urzędu Celnego. Jakież 50 metrów za nim, za smaźalniami ryb, odnajdziemy uliczkę prostopadłą do nabrzeża, łączącej się z ulicą Marynarki Polskiej na wysokości Domu Rybaka. W obecnym kształcie istnieje od lat 80. XIX wieku. Ale pierwsze budowle ratownictwa morskiego powstały w Ustce już około 1860 roku.

Cesarzowi na urodziny

Początki tzw. czerwonej szopy sięgają 1867 roku, kiedy po wschodniej i zachodniej stronie portu powstały



Ratownicy na miejsce akcji jechali po plaży w już wcześniej sklarowanej łodzi, umieszczonej na specjalnym wozie.

dwie szopy drewniane, ze sprzętem do ratowania załóg statków wyrzuczonych na mieliznę. W związku z dużą liczbą takich katastrof, podobne stacje powstawały wtedy wzdłuż całego pomorskiego wybrzeża.

Drewniana szopa stojąca w tym miejscu została w 1887 roku zastąpiona murowaną, wzniesioną ze składek pracowników poczty i telegrafu zebranych dla uczczenia 90. urodzin cesarza Wilhelma I. W środku mieściła się m.in. stajnia dla koni oraz dwa wozy na specjalnych kołach, nie grzęznących w plażowym piasku, służące do przewożenia 10-osobowej łodzi wiosłowej oraz wyrzutni rakiet, którymi wystrzeliwano liny do ewakuacji rozbitków. W okresie od 1867 do 1945 roku usteccy ratownicy-ochotnicy uratowali 166 istnień ludzkich. Za każdego uratowanego otrzymywali po 3 marki premii. Obecnie budynek nadal wykorzystywany jest przez ratownictwo morskie.

Dla ludzi ratowania

Tego typu szopy pełniły podobną rolę, co schroniska dla zbłąkanych, wyziębionych wędrowców w górach. Niemieckie towarzystwo ratowania rozbitków morskich, które powstało jeszcze w I połowie XIX wieku, budowało je wzdłuż południowego brzegu Bałtyku w odstępach co 15-20 km. Chodziło o to, żeby móc szybko dotrzeć do zziębniętych marynarzy, uczepionych kurczowo żaglowców, które sztorm wyrzucił na mieliznę. Podobne czerwone szopy powstały więc m.in. w Jarosławcu, Uście, Rowach, odludnym Czołpinie i w Łebie. Były do siebie podobne. Mieściły stajnię, w której trzymano kilka koni i dwa boksy na dwa wozy: z łodzią wiosłową, sklarowaną do akcji, drugi – z liną nawiniętą na bęben, którą wystrze-

liwano do rozbitków na statku przy pomocy rakiety. Wszystko tu było gruntownie przemyślane przez ludzi takich, jak Peter Haase, którzy wielokrotnie znaleźli się na morzu w opałach, a potem brali udział w akcjach. Wozy miały więc koła o specjalnej konstrukcji, które nie brnęły w mokrym, plażowym piasku.



Szalupę wodowano wprost z wozu. Pojazd wjeżdżał do wody i gdy tylko siła wyporu unosiła łódź, ratownicy imali się wioseł i ruszali ku rozbitkom.

Od Kołobrzegu po Łebę nie było stacji ratownictwa morskiego, której ekipa uratowałaby więcej rozbitków niż ta w Ustce. 166 istnień ludzkich, wydartych z gardła morskich czeluści w okresie od 1867 do 1939!

W Ustce były dwie ratownicze szopy, jedna po wschodniej, druga po zachodniej stronie portu. Chodziło o to, by ratownicy mogli szybko zareagować w sytuacji, gdy statek np. nie trafił w portowe główki. Powodów do akcji zdarzało się wiele, co najmniej kilka każdego roku.



Ustecka „czerwona szopa” przed I wojną światową. Ochotnicy stoją przy wozie z bębнами, na które nawinięta jest lina. Z tyłu tkwi niewidoczna wyrzutnia rakietowa, przy pomocy której wystrzeliano linę ku rozbitej jednostce.



Dwumasztowiec, który rozbił się na mieliźnie na wschód od uesteckiego portu. To był częsty widok. Wielu żeglarzy ginęło w takich katastrofach.

Pierwsze akcje

Szefem obu stacji ratowniczych w Uście był na początku pilot portowy Domcke, który na co dzień pracował w budynku Stacji Pilotów, stojącym na miejscu dzisiejszej latarni. Domcke dowodził 10 rybakami – ochotnikami. Ich pierwszą akcją było ratowanie szwedzkiego szkunera „Ida Auguste”, który zdążył z deskami z Kołobrzegu do Lubeki. 4 listopada 1867 roku wiatr zniósł go aż pod Ustkę. Jeszcze na pełnym morzu zaczął nabierać wody. Fale wyrzuciły szkuner na wschodnią uestecką plażę. Załogę ewakuowała uestECKA łódź ratownicza. Podobnie było z pruskim słupem „Merkur”, który wiozł wapno ze Świnoujścia do Ustki. 9 października 1870 roku około godz. 18.30 uderzył we wschodnie moło poważnie je uszkadzając. Sam rozpadł się na kawałki. Kapitan Brudjam ocalał, bo chwycił się odłamanego masztu, unoszącego się na powierzchni wody. Tak doczekał ratunku. Drugi członek załogi utonął.

Trzy lata później przy wschodnim mołu osiadł na mieliźnie szkuner „Franz Ludwig” ze Związku Północnoniemieckiego, wywożący zboże z Gdańska do Kopenhagi. Ratownicy ocalili zarówno załogę jak i ładunek. Podobnie było z norweskim statkiem „Mercantil”, który wiozł do Ustki „tłuste śledzie”, czyli – jak dziś byśmy je określili: matjasy – i wszedł z nimi na refę.

11. Morskie dramaty z trzynastką w tle

Zdarzały się w okolicach Ustki sytuacje makabryczne, przypominające opowieści o „latającym Holendrze”. Oto około godz. 23 w nocy, 7 listopada 1867 roku tuż przy granicy Ustki ze wsią Modlinek morze wyrzuciło na brzeg duży bryg. Miał postawione żagle. Lecz po załodze ani śladu. Zagadkę bryga udało się wyjaśnić dopiero tydzień później.

Pechowa trzynastka

13 listopada 1867 roku zameldował się w Ustce niejaki kapitan Dodd, który podał, że rozbity statek to dowodzony przez niego angielski bryg „Victoria”. – „Żałogę na pełnym morzu miał przejąć żaglowiec ze Stralsundu” - odnotował ustecki kronikarz.

Nie dodał, czy kapitanowi Doddowi udało się odzyskać mienie. Mogło to nie być łatwe. Na Pomorzu długo utrzymywał się zwyczaj, że przedmioty z rozbitych i porzuconych statków należą się tym, którzy je znajdują.

Do niecodziennego zdarzenia doszło w nocy 13 listopada 1874. Trzynastka okazała się pechowa dla niejakiego R. Kleynstübera i jego współpracowników z Królewca. Dziwnym zbiegiem okoliczności, w ciemnościach zderzyły się ze sobą dwa jego statki, parowce „Sirius” i „Borussia”.

„Sirius” płynął z drobnicą ze Szczecina do Królewca, „Borussia” ze zbożem - w przeciwnym kierunku, z Królewca do Szczecina. Do zderzenia doszło w połowie drogi, pod Jarosławcem.

„Sirius” miał więcej szczęścia. Dryfował, dopóki morze nie wyrzuciło go przy kąpielisku koło zachodniego mola w Ustce. Następnego dnia udało się go ściągnąć z mierzni i dociągnąć do portu. Gorzej było z „Borussią”. Walter Dominick, kronikarz ustecki odnotował: - „Borussia” zatonała. Trzem osobom udało się jeszcze przeskoczyć na „Siriusa”, siedmiu innych dobiło do brzegu na szalupie. Trzej pozostali: kapitan Klein oraz palacze Voigt i Fleischer utonęli.

„Borussia” była pierwszym zbudowanym w Prusach żelaznym parowcem śrubowym.



Rok po katastrofie „Tora” morze wyrzuciło na brzeg przy promenadzie w Uście parowiec „Stolp”. Weteran wojny krymskiej (wówczas pływał pod banderą brytyjską) zakończył tu swój techniczny żywot.

Tragedie rybaków

Niestety, usteccy ratownicy często nie zdążali z pomocą. 6 stycznia 1872 roku przewróciła się łódź rybacka, powracająca z połowu łososi. Stało się to półtora kilometra od brzegu, na wysokości Orzechowa. Zginęła cała, sześciuosobowa załoga, m.in. dwóch Schmiedebergów oraz Michael Krüger i jego córka.

3 sierpnia 1874 roku u wejścia do portu rzewróciła się inna łódź rybacka. Powód: błąd w ustawieniu żagli. Utopił się rybak August Briese z Dziwnowa. Szypra i jego żonę uratowali usteccy rybacy.

Kilka lat później, 19 kwietnia 1881 roku, morze pod Ustką pochłonęło dwóch 16-letnich Szwedów. „Trzy szwedzkie łodzie rybackie, które przyplynęły tu na połowy, wyszły w morze. W nocy zaskoczył je silny sztorm północno-zachodni. O świcie dwóm z nich udało się wejść do portu. Trzecia, najmniejsza, wywróciła się. Dwóm około 16-letnim rybakom nie można było pospieszyć z pomocą, więc utonęli” - zapisał kronikarz.

W sumie w 1881 roku pod Ustką utonęło trzech rybaków. Tyłu pochłonęło morze także w roku następnym. Jednym haustem, tylko w jednym dniu, 15 czerwca: Ferdynanda Erdmanna, jego 17-letniego syna i zięcia nazwiskiem Priebe. Z pomocą znowu nie udało się zdążyć.



Duński parowiec „Tor” na mieliźnie. Pechowy statek. Po tym, jak usteckim ratownikom pod dowództwem 70-letniego Sagera udało się uratować jego załogę i doholować do portu, po kilku dniach znowu podjął próbę dotarcia do Kopenhagi. Tym razem jednak sztorm zniósł go aż do Rowów. Po kolejnej katastrofie parowiec kapitana Israelssona nadawał się już tylko na szrot. (więcej na str. 46)

16 kwietnia 1884 roku znowu rozszalał się północno-zachodni wiatr. „Parową pogłębiarkę „Simson” ledwie udało się wprowadzić do portu. Z 10 łodzi rybackich ośmiu udało się wejść szczęśliwie, jedna weszła na mieliznę. Załoga uratowała się sama. Dziesiąta krążyła u wejścia oczekując odpowiedniej chwili, jednak w pewnym momencie przewróciła ją fala. Utonęli: rybak Krakow, marynarz Burow, cieśla okrętowy Katzke z Ustki oraz dziewczyna nazwiskiem Priebe z Królewa.”

Rok 1885. Znowu pechowa trzynastka, i do tego w listopadzie, w rocznicę tragedii „Borussi”. Dominick zapisał: „Z pięciu łodzi, które wypłynęły 13 listopada na połów, nie powróciła jedna z rybakami Raddatzem, Lewinem, Albrechtem oraz dwoma chłopcami. Pustą łódź morze wyrzuciło pod Smołdzinem. Cała piątka utonęła.”

6 września 1887 roku zimna ręka śmierci ponownie dotknęła ustecki ród Erdmannów. Śmierć w morskich falach znaleźli rybak Wilhelm Erdmann, jego żona, czyli owdowiała pani Meyer, której poprzedni mąż także jako rybak utonął na morzu w 1884 roku, oraz najemnik wynajęty przez tegoż Erdmanna.

25 października 1888 roku usteckie łodzie rybackie zaskoczył sztorm. Przewracały się przed wejściem do portu. Tym razem ratownikom udało się wyłowić 11 rybaków i przejąć ich na łódź ratowniczą. Ostatnia łódź z czterema ludźmi została dostrzeżona dopiero po godzinie, gdy sztorm był już tak silny, że nie sposób było myśleć o akcji ratowniczej. „Tych czterech zginęło marynarską śmiercią” - odnotował Dominick.

Ale jeszcze tego samego dnia wieczorem usteckim ratownikom udało się jednak ocalić życie czterosobowej załodze żaglowca, który osiadł na mieliźnie przy mołu zachodnim. Ewakuowano ich na ląd, wystrzeliwując z brzegu rakiety z rzutkami.

„Poczmistrz” wybawiciel

Zdarzały się sytuacje dramatyczne, kiedy zagrożeni byli sami usteccy ratownicy. Na przykład podczas próbnego rejsu nowej łodzi ratowniczej, której nadano nazwę „General Postmeister” („Poczmistrz generalny”), na cześć poczmistrza generalnego Rzeszy Heinricha von Stephana, pochodzącego ze Słupska.

Nowiutkiego „Poczmistrza” przywieziono do Ustki pociągami 3 października 1890 roku. Wyszedł w próbny rejs prawie rok później, dopiero 7 sierpnia 1891 roku, podczas sztormu. Płynął na wiosłach i pod żaglami. Walter Dominick, kronikarz Ustki: „Szło dobrze, jednak złamał się ster. Wśród grzywaczy łódź przewróciła się, a potem zalała ją woda. Jedenastoosobowa załoga była jednak zaopatrzona w kamizelki korkowe. Wszyscy weszli na kil przewróconej do góry dnem łodzi. Kwadrans później fale wyrzuciły łódź na brzeg.”

Ta łódź służyła w Ustce aż 36 lat. Na medal spisała się 30 listopada 1904 roku, gdy sztorm rzucił na główkę wschodniego mola duński trójmasztowiec „John Hintze”, dowodzony przez kapitana Carla Jacobsena. Żaglowiec był załadowany kamieniami z Bornholmu, dramat rozegrał się o godzinie 8.30 rano.

Wskutek uderzenia o molo złamał się jeden maszt. Jeden z członków załogi zdołał we właściwym czasie przeskoczyć ze statku na molo. Potem złamały się dwa pozostałe maszty i wrak zniosło na mieliżnę. „Poczmistrz” zdołał uratować dwóch pozostałych na pokładzie członków załogi, kapitana i kucharza.

Bohater z usteckiej „czerwonej szopy”

Zapomnianym już dziś bohaterem z usteckiej „Czerwonej Szopy” był Benjamin Sager. Od początku, czyli od 1867 roku, był wiosłarzem w usteckiej stacji pilotów i prawą ręką wsławnego udziałem w licznych akcjach królewskiego starszego pilota Domckego. Sager też potrafił przezwyciężyć lęk przed morską kipiela, nawet gdy już przekroczył 70 rok życia...

„O północy 9 lutego 1913 roku zaalarmowano ratowników, bo szwedzki parowiec „Tor”, pod kapitanem Israelssonem, który wyszedł 7 lutego z Ustki do Kopenhagi z 58 tonami zboża, zawrócił z powodu sztormu i znalazł się w niebezpieczeństwie. Za wschodnim mołem wyrzuciło go na mieliznę. Załozde łodzi ratowniczej „Poczmistrz Generalny” pod dowództwem ponad 70-letniego emerytowanego wiosłarza Benjamina Sagera udało się po ciężkiej walce z żywiołem dotrzeć do statku, który już przewalał się na burtę. 9-osobową załogę przewieziono na ląd.”

Jeszcze w 1916 roku stary wiosłarz Sager świętował 50-lecie pożycia małżeńskiego. Od Niemieckiego Towarzystwa Ratowania Rozbitków Okrętowych dostał z tej okazji złoty medal. Umarł dwa lata później.

I jeszcze jeden ważny szczegół. Ratownicy z czerwonych szop działali ochotniczo. Nie dostawali stałego uposażenia. Biegli na akcję tak jak dziś

członkowie ochotniczych straży pożarnych. Sygnałem było bicie w dzwon. Z czasem jednak cesarz niemiecki zaczął im wypłacać po 3 marki za każdego uratowanego. To była równowartość dobrych dwóch dniówek. Piwo w knajpie kosztowało tylko 10 fenigów.



Mutacja usteckiego herbu na „czerwonej szopie”. Nie wiadomo, kiedy znalazła się na elewacji XIX-wiecznego budynku. Syrenka Ustecka zamiast łososia ma tu w ręku atrybut króla mórz: neptunowski trójząb.

12. Tu stała wdowa Marusza

Spod czerwonej szopy warto spojrzeć na przeciwległe nabrzeże. Tam do dziś zachowały się dwie budowle z okresu świetności portu w Ustce, przypadającego na przełom XIX i XX wieku. Wówczas Ustka pod względem wielkości przeładunków była największym portem między Gdańskiem i Szczecinem. Koło brzeg i Darłowo były daleko w tyle.

Te dwie budowle to wielki, szary spichlerz na wprost i znajdujący się bardziej w lewo, czerwonocegłany, dawny magazyn spirytusu. Gdyby nasz legendarny Gwido żył trochę później, niż w dobie drewnianych żaglowców i pływał na parowcach albo na

żaglowcach motorowych, jego statek byłby załadowywany właśnie tam, po zachodniej stronie portu.

Spichlerz w tej postaci istnieje od 1915 roku. Zbudowano go już w 1907 roku, ale na samym początku I wojny światowej spłonął w tajemniczym pożarze, o którego wzniecenie Niemcy podejrzewali Rosjan i Polaków, przebywających w kurorcie od sezonu letniego 1914 roku. Zaraz potem go odbudowano. Funkcjonował jeszcze kilka lat temu. Teraz jest w rękach prywatnego inwestora, który planuje przerobić go na luksusowy apartamentowiec.

Magazyn spirytusu jest trochę starszy, bo zbudowano go w 1886 roku. Mógł pomieścić jednorazowo 2,5 milionów litrów alkoholowego destylatu. Spirytus dowożono pociągami z gorzelni, które wówczas znajdowały się w każdej większej wsi. Niestety, tory tej „kolei spirytusowej”, jak ją potocznie nazywano przed wojną, zostały w 1945 zdemontowane. Biegnie nią teraz z Ustki tzw. Rowerowy Szlak Zwiniętych Torów.

Zapomniana „Wunderwaffe”

Z magazynem spirytusu związana jest makabryczna opowieść jednego z pionierów biorących udział w oczyszczaniu portu po zniszczeniach wojennych w 1945 roku. Według niej, zaraz po wojnie ze zbiornika wyciągnięto ciała 3 żołnierzy radzieckich. To ślad po jednej z niedocenianych przez historyków „cudownych broni” Adolfa Hitlera. Jego słynny rozkaz, zwany „rozkazem Nerona” nakazywał wysadzać w powietrze wszystko, co dla wkraczającej Armii Czerwonej mogłoby mieć jakąkolwiek wartość. Z



W I połowie XX wieku ustecki port był pod względem przeładunków największym między Gdańskiem i Szczecinem. Działały tu dwie duże firmy armatorskie, mające nawet do kilkunastu statków i żaglowców handlowych oraz wicekonsulat szwedzki, który mieścił się w budynku z wieżyczką, dziś już nieistniejącym (spłonął w 1945 roku).

wyjątkiem gorzelni i magazynów z alkoholem. Niemcy wierzyli, że wysokoprocentowe chemikalia osłabiają zdolność bojową żołnierzy radzieckich. Ale nie osłabiły. Fakt: niektórzy, jak ci trzej, zapili się na śmierć. Ale pozostali poszli dalej na Berlin, może tylko nieco bardziej chwiejnym krokiem.

Posterunek żon i wdów

Świadomość, jak wiele niebezpieczeństw czyha na żeglarzy podczas rejsów, musiała towarzyszyć wdowie Maruszy w dzień i w nocy. Gdzieś tam, na morzu ciemne moce, złe siły śmierci mogły przecież zabrać jej jedynego syna. Obawy i lęki pogłębiał fakt, że „Wieloryb” nie wrócił zgodnie z planem do macierzystego portu. Nie tylko nie było go widać na redzie. Także żeglarze z innych statków, przyplływający do usteckiego portu, nic nie wiedzieli o tej jednostce, ani o losach jego załogi.

Legenda opowiada, że targana złymi przecuciami wdowa codziennie wychodziła na nabrzeże i wpatrywała się w horyzont, szukając wzrokiem wytęsknionego „Wieloryba”. Ale daremnie. Nie nadpływał przez wiele dni. Modlitwy kobiety jakby w ogóle nie docierały do Boga.

To pełne trwogi wypatrywanie powrotu bliskich z morza obrazuje niewielki pomnik, odsłonięty w 2002 roku i dedykowany Ludziom Morza. Stoi niedaleko latarni morskiej, na łagodnym stoku dziś całkowicie zabudowanej wydmy. Tu faktycznie mogła stać niegdyś legendarna Marusza. Tu na pewno wielokrotnie stały inne usteckie kobiety, oczekujące powrotu swoich mężczyzn. Wiemy, że tak jak w innych nadmorskich miejscowościach, podczas sztormów na nabrzeżu gromadziła się cała wieś.

Mały pomnik wielkich uczuć

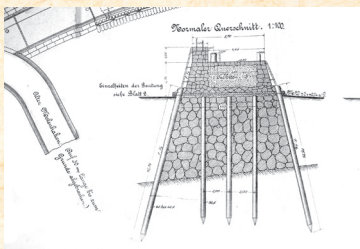
Pomysł postawienia w Uście tego pomnika zrodził się w środowisku usteckich rybaków i działaczy „Solidarności” już na początku lat 80-tych. Pierwotnie miał stanąć na środ-



Spirytus od II połowy XIX wieku był jednym z hitów eksportowych usteckiego portu. Magazynowano go w tym budynku. W 1914 roku niewiele brakowało, a eksplozja czystego alkoholu zmiotłaby z powierzchni ziemi znaczną część kurortu. W 1945 roku hitlerowcy pozostawili pełne zbiorniki, aby w ten sposób osłabić zdolność bojową żołnierzy radzieckich



Główka falochronu zachodniego. Niemcy zbudowali ją w latach 1899 – 1903.



Rysunek techniczny z 1905 roku, ukazujący podwodną konstrukcję mola. Wspiera się ona na palach, wbitych w dno morza

ku skweru, który teraz nosi nazwę Skweru Jana Pawła II. Władze komunistyczne nie zaakceptowały jednak tej inicjatywy. Powód: figura kobiety przypomina Madonnę, zawiera więc akcenty klerykalne, niepostępowe, sprzeczne z linią „naszej partii”. A potem, gdy pomnik mógł stanąć, bo zniknęły przeszkody ideologiczne, ciągle brakowało pieniędzy. Dopiero w 2001 r. sprawę budowy pomnika postanowiła popilotować radna Anna Górecka z Ustki, armatorka rybacka. Energicznie doprowadziła inicjatywę do końca. Pieniądze na budowę pochodziły ze składek społecznych, od sponsorów oraz



Pomnik poświęcony Ludziom Morza stoi koło latarni morskiej w Ustce. Niektórzy identyfikują tę kobietę wypatrującą w twógą powrotu z morza swoich bliskich z postacią wdowy Maruszy.

z budżetu miasta i powiatu. Autorem rzeźby jest prof. Stanisław Kulon z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Figurę otaczają cztery tablice przedstawiające pracę na morzu. Wykonał je rzeźbiarz Mieczysław Borys.

Od niedawna, gdy w Ustce nastąpił renesans legendy o wdowie Maruszy i pomagającej jej syrence zwanej Bryzgą Rosową, czego widocznym przejawem jest wybicie przez miasto lokalnych dukatów pod nazwą „Cztery Bryzgi



Ślad po zamachu na figurę, dokonany w 2002 roku, pozostał do dziś .

Rosowe” oraz inicjatywa budowy pomnika Syrenki Usteckiej, wiele osób zaczęło nazywać tę figurkę właśnie „Pomnikiem wdowy Maruszy”.

Pomnik, któremu „odrosła” głowa

Jest w dziejach pomniczka wątek sensacyjny. W noc poprzedzającą uroczystości odsłonięcia ktoś odłamał figurze głowę. Do

dziś nie wiadomo, czy był to przypadek, czy zaplanowany zamach, inspirowany przez fanatycznych przeciwników dzieła. Głowę udało się odnaleźć w pobliskim koszu na śmieci i przykleić do tułowia. Spojenie jest widoczne. Wygląda jak blizna na szyi.

13. Opowieść o usteckiej latarni morskiej

Skoro jesteśmy już pod latarnią, trzeba i o niej parę słów. Ceglany budynek z wieżą istnieje od 1892. Pierwotnie funkcje latarni morskiej pełniła podobno w Ustce wieża kościółka przy obecnym Skwerze Jana Pawła II (ok. 300 m stąd – patrz rozdział pt. Plac po kościele Św. Mikołaja). Ale to raczej tylko legenda, być może zawierająca echa kościelnego cudu, o którym pisaliśmy wyżej i trawestująca plastyczną wymowę pieczęci parafii, z dewizą „Lux Viae” – „Światło Drogi”.

Czerwone światło sprzed stu lat

Na pewno latarnia morska działała w Ustce od 1871. Był to wysoki maszt, stojący obok stacji pilotów. Musiał mieć około 10 m wysokości, czyli tyle, co trzykodygnacyjny budynek. Stał na skraju wydmy. Wiadomo, że światło latarni znajdowało się na wysokości 11,6 m nad poziomem morza.

Owi piloci byli doświadczonymi żeglarzami. Znali podejścia do portu, a zwłaszcza niebezpieczne miejsca, gdzie tworzą się piaszczyste mielizny. W stacji pełnili dyżury. Ich zadaniem było udzielanie pomocy w wejściu do portu żeglarzom, którzy o to poproszą. Mieli na usługach wioślarzy i łódź, którą dopływali do jednostek stojących na redzie. Niektórzy z nich zapewne pełnili także funkcję latarników. Ich rola sprowadzała się do wciągania na noc na ów maszt koło stacji pilotów tzw. aparatury Fresnela. Była to specjalna, wieloknotowa lampa naftowa, z systemem pryzmatów i obrotowych soczewek, których obracanie się nadawało światłu latarni określoną charakterystykę. Latarnik musiał czuwać nie tylko nad tym, by lampa nie zgasła np. z powodu braku paliwa, albo silnego podmuchu wiatru, ale także nad tym, by działał należycie ów system obrotowy soczewek i przesłon, nadający lampie charakterystyczne migotanie.

W XIX wieku latarnia ustecka świeciła czerwonym światłem, jak Wenus, czyli bogini miłości. Błyski z Ustki było widać wówczas na morzu z odległości 6 mil, czyli prawie 11,5 kilometra. Tyle mniej więcej wynosi odległość plaży z Ustki do Rowów.



Tak wyglądała stacja pilotów przez pierwsze lata po jej zbudowaniu (1892). Wieża nie miała jeszcze wówczas charakterystycznej laterny. Światło po prostu wciągano na maszt



Domniemane duchy przestały hulać po latarni morskiej w Ustce po tym, gdy w budynku wymieniono okna i skończyły się przeciągi.

Widoczny znak

Dzisiejsza latarnia to budowla z początku lat 90. XIX wieku. Dokładnie w 1892 roku w tym samym miejscu, w którym znajdowała się stara stacja pilotów, stanął nowy budynek z czerwonej cegły. Połączona z nim jest ceglana wieża, zbudowana na planie ośmiokąta. Na nią początkowo przeniesiono starą, czerwoną latarnię. Białym przerywanym światłem latarnia ustecka świeci od 1904 roku. Ma 21,5 m wysokości. Blask jej reflektora widać na morzu z odległości około 30 km. Widać ją także z brzegu plaży aż spod Jarosławca na zachodzie po Rowy na wschodzie. Co ciekawe, także i w Ustce widać światła sąsiednich latarni: w Jarosławcu i w Czołpinie. O ile oczywiście powietrze ma odpowiednią przejrzystość.

Domniemany duch w latarni

Jeszcze jakieś 20 lat temu służba latarników polegała m.in. na tym, że nocami pełnili wachty na górze, czuwając nad pracą urządzenia. Była to praca bardzo odpowiedzialna. Według dawnych zwyczajów, za zaniedbanie obowiązków latarnikom groziło dożywotnie więzienie, a nawet wyrok śmierci, gdy wskutek tych zaniedbań ktoś utracił życie. Ale jeszcze gorszą karą były wyrzuty sumienia i niespokojny sen.



W Ustce latarnicy jeszcze kilkanaście lat temu opowiadali, że gdy nocami dyżurowali na wieży przy aparaturze, czasami słyszeli w opustoszałych pomieszczeniach tajemnicze stuki i dziwne odgłosy, przypominające przeciągłe wycie i zawodzenie. Niektórzy podejrzewali, że to duchy żeglarzy, którzy niegdyś zginęli w falach Bałtyku nieopodal Ustki przez to, że usteccy latarnicy nie zapalili w porę ostrzegawczego światła. Inni znawcy tematu twierdzili, że przeciwnie – to duchy rozbitków ze statków, których sternicy celowo zostali wprowadzeni w błąd przez ustczan, którzy rozpalali ogień dla zmyłki. Po to, aby spowodować wejście żaglowca na mieliznę i następnie obrabować go z ładunku. Zachowały się przekazy źródłowe potwierdzające, że ustczanie kradli wartościowe rzeczy z wraków. Na przykład w XV wieku Słupsk, do którego należała wieś Ustka, musiał się gęsto tłumaczyć przed wielkim mistrzem krzyżackim z tego, że ustczanie obrabowali jeden z gdańskich statków, który wszedł na mieliznę nieopodal ujścia Słupi. Miało ich usprawiedliwiać to, że nie znali języka gdańszczan, mówiących zapewne po niemiecku. W Ustce podobno wzięto ich za Duńczyków.

To między innymi oni, jako zjawy z zaświatów, mieli niepokoić jeszcze do niedawna usteckich latarników. W latach 90. sprawę rzekomo nawiedzanej latarni nagłośniła telewizja. Być może rozgłos, jakie zdobyły wtedy do-

mniemane duchy spowodował, że Urząd Morski w Słupsku zdecydował się na wymianę w budynku wszystkich starych okien. Latarnicy mówią, że po remoncie stuki, wycie i tajemnicze jęki całkowicie ucichły...

14. Promenada – marsz wypatrywania

Jest taka scena w jednym z odcinków serialu „Czterej Pancerni i pies”: żołnierze polscy i radzieccy cieszą się ze zwycięstwa nad Niemcami w Gdańsku, ale ich radość mąci widok ubranej na czarno wdowy, która idzie wzdłuż plaży i rozpaczliwie nawołuje syna „Maaarek! Maaaarek!”.

Legendarna ustecka wdowa Marusza też pewnie chodziła w czerni po plaży. Czy nawoływała syna? Opowieść Fenikowskiego o tym nie mówi. Ale my możemy sobie wyobrazić, jak zachodni wiatr niósł w stronę Gdańska rozpaczliwe okrzyki „Gwido, Gwido!” Przecież to szloch i zawodzenia Maruszy wzbudziły litość Bryzgi Rosowej. Syrenka usłyszała je pływając w morskich falach. Tylko bogaci ustczanie nie słyszeli tych nawoływań, a jeśli nawet – to nie reagowali i nie śpieszyli z pociechą.

Księżę Bismarck też tu był

To właśnie gdzieś tu, na plaży wschodniej, dochodziło do spotkań Maruszy z Syrenką. W którym miejscu dokładnie, nie wiadomo, ale nic nie stoi na przeszkodzie,

by samemu spróbować je znaleźć.



Kiedyś gdzieś tu płakała legendarna wdowa. Potem na wcześniej dzikiej wydymie usteccy żeglarze i rybacy zbudowali promenadę, na której mieszczanie z wielkich miast obnosili się ze swoim dobrobytem

Przez wieki na wschód od portu rozciągały się dzikie wydmy. Dopiero w 1875 roku ustczanie stworzyli wzdłuż plaży promenadę spacerową. Z myślą o turystach zlaknionych bliskiego kontaktu z nadmorską przyrodą, ale zarazem przyzwyczajonych do wiel-

komiejskich klimatów. Damy w długich, krynolinowych sukniach i dżentelmeni w garniturach i frakach nie mogli przecież spacerować po wydmyowym piachu. Tym bardziej, że zgodnie z modą panującą w XIX-wiecznych miejscowościach letniskowych, przy rekreacyjnym trakcie spacerowym obowiązkowo powinna była grać orkiestra. Rokrocznie władze Ustki wynajmowały więc orkiestry pułkowe. Nie tylko z miast pomorskich, ale nawet z austro-węgierskich Czech.

Najbliżej latarni usytuowana jest najstarsza część traktu. Dzisiejsza restauracja „Bałtycka” i Ośrodek Wczasowy „Przystań” to budowle wzniesione jeszcze w XIX wieku. Wiadomo, że tu właśnie spędzał czas na biesiadowaniu po wyczerpujących przejażdżkach konno lub wiosłową łódką do orzechowskich buków późniejszy „żelazny kanclerz”,



Otto von Bismarck kilkakrotnie spędzał w Ustce wczasy. Jeździł konno plażą do Orzechowa i opisywał potem te przejażdżki w listach do przyjaciół

książę Otto von Bismarck. W „Bałtyckiej” przedwojenny właściciel jeszcze w latach 30. XX wieku pokazywał gościom stolik, przy którym rzekomo 90 lat wcześniej przesiadywał żelazny Otto razem ze swoją żoną i teściem, von Puttkamerem z Barnowa (wieś w połowie drogi między Słupskiem i Bytowem).

Kilkanaście metrów dalej są schodki. Przy nich kończy się najstarsza część promenady, założona w 1875 roku. Na ich wysokości, po prawej stronie, za „Dworkiem Różanym”, znajduje się najstarszy budynek uszteckiego uzdrowiska. To „łazienki” zbudowane w 1911 roku w stylu typowym dla architektury szczytowego okresu niemieckiego cesarstwa, zwanym wilhelmiańskim. Znamionuje go zwłaszcza kopuła dachowa w kształcie pikelhauby, czyli tradycyjnego, pruskiego hełmu ze szpikulcem.

Sposób na depresję

Łazienki związane są nierozzerwalnie z funkcją gospodarczą Ustki, symbolizowaną w herbie miasta przez postać



Plaża w latach 30-tych XX wieku. To okres, kiedy morze pod Ustką twardo wdzierało się w ląd, zupełnie jak w syrenkowym Trzęsaczu. Ustczanie bronili się wbijając pale w morskie dno, które załamywały fale

syrenki – czyli z kąpieliskiem. Jej początki sięgają pierwszej połowy XIX wieku. Wtedy rozpowszechnił się pogląd o zbawiającym wpływie zimnej wody na zdrowie, lansowany przez takich fizjoterapeutów, jak np. von Vincent Priessnitz, któremu język polski zawdzięcza nazwę natrysku. Inny propagator zimnych kąpielei, niejaki radca Held, wydał w 1803 roku specjalną broszurę o tym, jak dzięki takim zabiegom wyleczył się z depresji i melancholii. Miał ku temu osobiste powody. Skazany za malwersacje finansowe na pół roku izolacji w twierdzy Kołobrzeg, dzięki systematycznym kąpielom w morzu, wyleczył się z depresji i melancholii. Held radził kąpać się dwa razy dziennie, bez względu na pogodę: rano między 5 a 6 godziną i między 7 a 8 godz. wieczorem. By zabiegi były skuteczne, po każdej takiej kąpieeli zalecał wypić od 3 do 4 szklanec win. Melancholia minęła po tym jak ręką odjął.

Zakład dla wygodnych

Ponieważ jednak nie wszyscy kuracjusze byli aż tak zdeterminowani, z czasem władze letniskowej wsi Ustka zdecydowały się wybudować łaźienki, czyli zakład przyrodoleczniczy. Pierwotnie idea była taka, by mniej zahartowanym letnikom serwować tu kąpiele w podgrzanej wodzie morskiej,



Pierwsze prywatne uesteckie łaźienki istniały w tym miejscu już w XIX wieku. Zostały jednak skomunalizowane i w 1911 roku gmina wybudowała te, zatrudniając architektów z Sopotu i z Austro – Węgier

pompowanej do budynku od ujęcia koło mola specjalnym rurociągiem. Z czasem poszerzono zakres zabiegów. Już w latach 30. XX wieku oferowano tu m.in. kąpiele solankowe, w błocie borowinowym, pianowe, a także masaże, natryski i kompresy. Oczywiście odpłatnie. Za kąpiel w podgrzanej wodzie morskiej trzeba było zapłacić 1,20 marki, a za najdroższą kąpiel borowinową – 4,5 marki. Tyle kosztował całodzienny pobyt w najlepszym usteckim hotelu, który stał w miejscu dzisiejszego Domu Rybaka przy ul. Marynarki Polskiej.

Ustka reklamowała się wówczas w folderach jako miejscowość, w której można skutecznie leczyć się z takich dolegliwości, jak astma, reumatyzm, choroby dróg oddechowych, układu krążenia, tarczycy, żołądka, a także z chorób nerwowych, czyli takich, na jakie cierpiał ów radca Held.

15. Opowieść o spędzaniu weekendów w Ustce w dawnych czasach

Spisy letników przybywających do usteckiego kąpieliska począwszy od 1832 roku aż do wybuchu II wojny światowej publikowano co tydzień na specjalnych listach. Ochroną danych osobowych nikt się wtedy nie przejmował. I dzięki temu dowiadujemy się, kto, z kim i skąd przyjeżdżał, u kogo się zatrzymywał i na jak długo.



Pawilon zdrojowy, jedna z nielicznych pozostałości po XIX-wiecznym kurorcie, w którym ludzie podobni do Helda leczyli się z depresji. Kiedyś był to centralny punkt usteckiej promenady

Kurort słupszczan

Tymi, którzy tworzyli w Ustce największy ruch i nadawali ton życiu letniskowej osady w prawdziwie wolne dni, czyli w niedziele, byli mieszkańcy najbliższych okolic, a zwłaszcza Słupska. Anonimowy „stary słupszczanin”, który w 1937 roku na łamach dodatku do lokalnej gazety wspominał niedzielne wypady XIX-wiecznych słupszczan nad morze, zapisał iż wyjeżdżali zawsze wcześniej rano, a wra-

cali późnym wieczorem. Uwaga: dojechać i wypocząć trzeba było w właśnie w niedzielę, bo wolnych sobót nie było.

Słupszczanie podróżowali we własnych, albo w wynajętych furmankach i drabiniastych wozach. Mogli też skorzystać z szybszych środków transportu: dorożki albo pocztowego dylizansu. W latach 70. XIX wieku zainteresowanie wyjazdami było tak duże, że na trasę ustecką wprowadzono specjalny omnibus. Ten „autobus” ciągniony przez konie zabierał około 20 osób (dylizans – 6-8).

Omnibus swój początkowy przystanek miał przy nieistniejącej już Bramie Holstena (dawny wylot na Ustkę), przy dzisiejszym sklepie Antyk na ul. Grodzkiej. Zatrzymywał się w połowie drogi, przed karczmą w Bydlinie. Przystanek końcowy w Ustce znajdował się koło dzisiejszego Domu Kultury. Wówczas był to hotel niejakiego Köhna, później nazwany „Hotelem Księcia Blüchera”. Stąd dalej wędrowano pieszo, wzdłuż ul. Kosynierów i Marynarki Polskiej.

„To były przyjemne podróże – wspominał „stary słupszczanin”. – Kilku podróżnych siadało obok siebie i przez całą drogę grało w karty na płaszczu rozłożonym na kolanach jednego z nich. Inni przy akompaniamencie ustnej harmonijki, śpiewali ludowe piosenki. Grupie kobiet muzyka nie przeszkadzała w opowiadaniu sobie nowych plotek z miasta. Dzieci z zainteresowaniem oglądały z okien omnibusu zające i sarny na skraju lasu. Ich uwagę przyciągało także bydło i owce.”

Na wywczas furmanką

Przyjemność była względna. Autor wspomnień nadmienia, że już podczas postoju omnibusu przed karczmą w Bydlinie podróżni wykorzystywali przerwę na „przepłukiwanie gardel.” Kurzyło się, a podróż dłużyła. Dylizans pokonywał odległość między Słupskiem i Ustką w godzinę i 45 minut. Furmanki i ciężki omnibus jechały na pewno ponad 2 godziny.

Ekipy wycieczkowiczów podróżujących furmankami zatrzymywały się przy usteckich gospodach, gdzie konie wyprzęgano, pojono i karmiono. Do tych lokali powracano,

gdy słońce chyliło się ku zachodowi. Tu spożywano kolację – zwykle złożoną z zapasów, które pozostały w koszach. Niezwykle organizowano także potańcówki. Gospodami najczęściej odwiedzanymi był Hotel „Przy Porcie Ratunkowym”, stojący naprzeciwko poczty przy ul. Marynarki Polskiej, oraz Pawilon Kalffa przy promenadzie – dziś Dom Wczasowy „Przystań”, zwany też nie wiadomo dlaczego, „Czarem PRL-u”.

Wiele furmanek powracało do Słupska dopiero ciemną nocą. Pod gwiazdzistym niebem do późna rozbrzmiewały śpiewy najbardziej wytrwałych wycieczkowiczów.

Stoi na stacji lokomotywa...

Kolej między Słupskiem i Ustką uruchomiono w październiku 1878 roku. Pociąg jechał „tylko” 45 minut, czyli dwa razy szybciej, niż konny dyliżans. Ale w sezonie pojawił się nowy problem: tłok!

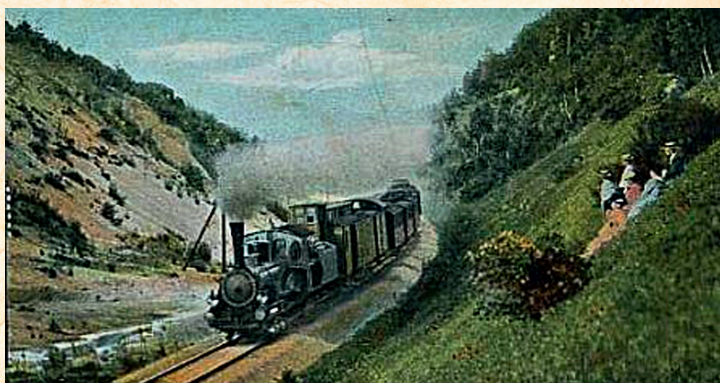
„Stary słupszczanin”: „Zarząd kolei robił, co mógł, by nastarczyć z wagonami dla wszystkich chętnych. Z braku wystarczającej liczby osobowych, podczepiano więc towarowe.”

W lecie 1888 roku jeden skład osobowy na linii Słupsk - Ustka liczył do 30 wagonów, w tym do piętnastu „bydlęcych”. Ustecki kronikarz: - „Na warunki podróży w tych bydlęcych wagonach skarżyły się przede wszystkim damy. W tłoku zdarzało się, że niektóre były w niewybredny sposób molestowane.”

Problem sezonowego tłoku udało się rozwiązać dzięki wprowadzaniu dodatkowych kursów. Na pewien



Podobnymi furmankami podróżowano kiedyś do Ustki na wczasy. Podróż była uciążliwa, podróżni w połowie drogi zwyczajowo zatrzymywali się przy karczmie w Bydlinie



Dopiero gdy do Ustki doprowadzono w 1878 roku kolej, turyści zaczęli masowo napływać w lecie do osady.

czas wprowadzono też piętrowe wagony osobowe, jakie kursowały wówczas na trasie Gdańsk – Sopot. W niedzielę, 18 lipca 1926 roku mogło zjechać naraz do 3-tysięcznej usteckiej wioski około 10 tysięcy gości. Aby przewieźć tyle osób, trzeba by aż pół tysiąca omnibusów! To wszystko dzięki kolei. Regularnych kursów autobusowych jeszcze wówczas nie było. Pierwsze połączenie autobusowe Słupsk – Ustka uruchomiono dopiero za Hitlera, w latach trzydziestych.

16. Wzdłuż plaży wschodniej

Dalej spacerujemy promenadą w kierunku orzechowskich klifów. To trasa, którą w latach 50. konno przemierzał Otto von Bismarck podczas swoich pobytów w Ustce. Przy pawilonach gastronomicznych w środkowej części promenady warto spojrzeć w prawo, na okazałą willę z czerwonej cegły, z wieżyczką. To „Villa Red”, przez starych ustczan często niesłusznie nazywana willą Goeringa. Gruby niemiecki marszałek jednak nigdy w niej nie był.

Gdy zbudowano ją w połowie lat 80-tych XIX wieku, stała samotnie wśród wydm. Była jednym z pierwszych budynków powstałych przy dopiero co wówczas wytyczonej ulicy „willowej” (Villenstrasse), czyli obecnej ul. Żeromskiego. Właściciel nazywał się Westphal i był słupskim przedsiębiorcą. To była jego letnia rezydencja. Budując ją, wzorował się na posiadłościach angielskich dzentelmenów

(gotyk angielski), lubujących się, jak Bismarck, w konnych przejażdżkach. Za willą, w głębi parku, zachował się budynek po dawnej stajni.

Zbacząc z promenady w stronę „Villi Red” dojdziemy wzdłuż jej murowanego ogrodzenia do ul. Chopina, zrewitalizowanej w 2006 roku. Wzdłuż niej pod koniec XIX i na początku XX wieku powstało kilka hotelików i willi pensjonatowych. Ciekawa jest zwłaszcza secesyjna willa na rogu ul. Kopernika i Chopina, która przed wojną reklamowała się jako „Pałacyk Parkowy”.

Syn „matki” syrenki warszawskiej

Ale wróćmy na promenadę, gdzie mamy do obejrzenia jeszcze jeden dziwny akcent syrenkowy. Jeśli uznać to za zbieg okoliczności, to jest on symboliczny: zaraz za ogrodzeniem „Villi Red” stoi pomnik Fryderyka Chopina. Twórczynią tej rzeźby jest Ludwika Krasowska – Nitschowa, ta sama, która w 1938 roku wygrała konkurs na realizację pomnika warszawskiej syrenki. Tak jak jej syrenka warszawska stoi nad brzegiem Wisły, tak jej Chopin ustecki stoi nad brzegiem morza. Zamyślony, zapatrzonej w dal, jakby wypatrywał tam daleko na morzu powrotu Bryzgi Rosowej. Wygląda na takiego, który wie, gdzie wdowa spotykała się z syrenką. Jest przecież pomnikowym bratem kobietoryby.

Do Ustki trafił oficjalnie jako dar dla miasta od ministra kultury i sztuki, przyznany za wkład w rozwój i popularyzację kultury wśród mieszkańców i przyjezdnych. Odsłonięto go podczas obchodów Dni Morza w 1979 roku.

„Umierający Wojownik”

Spacerując szlakiem Syrenki Usteckiej nie możemy ominąć tego obiektu. To właśnie tu, jak pisaliśmy wcześniej, po raz pierwszy wystąpiła ona „publicznie”.

Pomnik stoi w parku przy promenadzie, u wylotu ul. Kopernika, naprzeciw „parkowego pałacyku”. Park założono jeszcze w XIX wieku. Patronował mu najpierw radca Wilhelms z zarządu rejencji w Koszalinie, który przyczynił się w latach 1899 – 1903 do rozbudowy usteckiego portu. Po



„Umierający wojownik”. Teraz pełni funkcję rzeźby parkowej, kiedyś upamiętniał poległych.

dojściu Hitlera do władzy patrona parku zamieniono na Franza Seldte, założyciela konserwatywno-narodowej organizacji kombatanckiej Stahlhelm.

Rzeźba stała tu 22 stycznia 1922 roku. Ukazuje śmiertelnie rannego wojownika, który nadludzkim wysiłkiem próbuje jeszcze powstać do walki i osłonić się tarczą przed ciosami wroga. Jest ona hołdem, jaki mieszkańcy niemieckiej jeszcze Ustki złożyli dla

upamiętnia 76 mieszkańców wsi, poległych w I wojnie światowej. Pomnik ufundowali za 57.000 marek, które zebrali ze społecznych składek. Widniał na nim napis: „Naszym poległym żołnierzom”. Po II wojnie zastąpiono go tabliczką z polskim tekstem: „bezimiennym bohaterom wojen światowych społeczeństwo Ustki”, jednak tabliczka ta zaginęła.

O twórcy, którego polubił Hitler

Autorem rzeźby jest Josef Thorak (1889-1952), słynny rzeźbiarz niemiecki, który później zaprzedał się Hitlerowi. Tworzył m.in. monumentalne rzeźby na Stadionie Olimpijskim oraz w Kancelarii Rzeszy w Berlinie. Dla niego Albert Speer wybudował pod Monachium ogromną halę, aby rzeźbiarz mógł w niej tworzyć gigantyczne pomniki. Po zwycięstwie miały ozdabiać miasta „1000-letniej Rzeszy” zaprojektowane osobiście przez fuehrera, niespełnionego artystę. Hitler tak polubił Thoraka, że nawet gdy dowiedział się, iż rzeźbiarz w czasach, gdy tworzył uestcki pomnik, sympatyzował z komunistami, tylko pokiwał głową i wyrzekł z politowaniem: „Ach, ci artyści. Oni są naiwni jak dzieci”.

W dzisiejszej Polsce tylko Ustka ma monument bezsprzecznie autorstwa Thoraka. Syrenkę i herb, jak pisaliśmy wyżej, wymyślił Wilhelm Granzow, uestcki malarz. Podobno chciał nią

wyrazić kąpieliskową funkcję Ustki, ale na tym pomniku ma ona i inną wymowę. W starożytnej Grecji malowano je wszak na trumnach i grobowcach. Podobno w zaświatach pięknie śpiewały wybrańcom, którzy dotarli do Wysp Szczęśliwych. Ci, którzy ufundowali pomnik, chcieli aby dotarli tam także polegli uścześnie.



Thorak w swojej fabryce rzeźb pod Monachium. Rzeźbił Wenus, a w tym czasie niedaleko od niego funkcjonował już obóz koncentracyjny w Dachau

Josef Thorak, twórca monumentu, przeżył wojnę w Bawarii. Należał do tych artystów, którzy stanęli przed komisją denazyfikacyjną. Pozbawiono go prawa wykonywania zleceń na rzecz podmiotów publicznych. Utrzymywał się więc z tworzenia figurek świętych dla katolickich kościołów w Bawarii. Umarł w nędzy w 1952 roku.

Syrenkowe fatum Anno Domini 1992

Monument wojownika z syrenką na tarczy po wojnie przez lata pozostawał „anonimową rzeźbą parkową”. W Polsce ludowej osoba twórcy mogłaby mu tylko zaszkodzić.

Po przełomie 1989 roku stał się obiektem skandalu. Zwolennicy teorii, że syrena przynosi pecha, mogą to wydarzenie podnosić jako argument. Na jesieni 1992 roku przez ten pomnik urząd stracił ówczesny burmistrz Ustki, Ryszard Szpetnar. Postanowił on wówczas uhonorować bohaterów walki o niepodległość Polski i wpadł na pomysł, aby zrobić to małym kosztem, przerabiając poniemiecki monument z syreną. Na cokole zawisła nawet na kilka dni stosowna tabliczka, której uroczyste odsłonięcie zaplanowano na Święto Niepodległości 11 listopada. Gdy jednak polscy kombatanzi dowiedzieli się o przeszłości rzeźby, zbotkowali uroczystości. – Nie



To dzieło miało uwiecznić trud budowniczych pierwszych niemieckich autostrad.

będziemy składać kwiatów pod gołym Niemcem – mówiła wówczas była łączniczka Armii Krajowej. Burmistrza odwołano kilka dni później.

17. Ulica Kopernika: dzielnica prominentów i bogaczy

„Umierający Wojownik” usytuowany jest u wylotu ul. Kopernika. Ulica ta wytyczona została jeszcze przed I wojną światową. Zamykała od wschodu obszar dzielnicy willowej, która rozbudowywała się po wschodniej stronie średniowiecznej osady rybackiej od lat siedemdziesiątych XIX wieku. Wcześniej, w czasach żaglowców, na których pływał legendarny Gwido, rósł tu prastary nadmorski las.

Generalski dom wczasowy dla nauczycieli

Wille z przełomu XIX i XX wieku były niegdyś własnością kupców i przemysłowców ze Słupska i z innych niemieckich miast, takich jak np. Berlin. Na przykład dzisiejszy ośrodek ZNP „Delfin” na rogu ulic Kopernika i Mickiewicza, architekturą nawiązujący do klasycystycznego, wiejskiego dworku, był letnią rezydencją von Wühlischów, bogatej rodziny kupców, ziemian, polityków i generałów. Warto obejrzeć płaskorzeźby na elewacji od strony ogrodu, w sposób symboliczny nawiązujące do walki Niemiec na dwa fronty w czasie I wojny światowej.

Walczył w niej również jeden z właścicieli domu, Heinz -Heinrich von Wühlisch. Zaczynał jako rotmistrz w słupskim 5. Pułku Huzarów, potem na ochotnika zgłosił się do lotnictwa. Był asem zaprzyjaźnionym z von Richthofenem i Goeringiem. Potem



Dom z przedwojennym syrenkowym herbem Ustki przy ul. Kopernika 7. Legenda o Syrencie chciałaby mieć dalszy ciąg, a jeśli tak, to należałoby szukać go w tym budynku.



Willa Wühlischów od strony ul. Kopernika, dawniej ul. Draheima, budowniczego uestckiego kościoła

został generałem Luftwaffe. Z II wojny światowej już jednak nie wrócił. Zmarł w 1947 roku popełniając samobójstwo w obozie jenieckim w Holandii. Podobno targnął się na życie ze strachu przed odpowiedzialnością za zbrodnie, których dopuścili się jego podwładni.

Poziom ogrodu willi Wühlischów wyraźnie jest wyższy niż ulica biegnąca obok. Już przed wojną wyjaśniano to w Ustce



celowym zabiegiem właściciela. Miał on mieć za żonę Węgierkę, którą bardzo kochał. Węgierka kochała natomiast swoją ojczyznę. Pragnąc, by żona podczas letnich pobyków w Ustce dobrze się tu czuła, bogacz sprowadził z Węgier kilka wagonów naddunajskiej ziemi. Dlatego właśnie nawieziony nią ogród góruje nad okolicą.

Po przekątnej, czyli po prawej stronie ulicy Kopernika, na rogu z ul. Mickiewicza stoi willa, w której w czasach PRL mieścił się klub garnizonowy. W lipcu 1978 roku jedną noc spędzili tu razem Edward Gierek, ówczesny szef PZPR i

Piotr Jaroszewicz, ówczesny premier, podejmowani kolacją przez miejscowych notabli. Legenda peerelowska głosi, że tej wizycie Ustka zawdzięczała poszerzenie szosy do Słupska.

Dom z herbem, czyli dalszy ciąg legendy

Spod pomnika udajemy się dalej ulicą Kopernika.

Po prawej stronie mijamy szpital, który stanął na przełomie



lat 80. i 90 w miejscu, gdzie już przed pierwszą wojną światową znajdował się ośrodek leczenia dzieci cierpiących na choroby płuc. Ośrodek ten zbudowano ze składek Ojczyźnianego Związku Kobiet.

Idąc od „Umierającego Wojownika” po lewej stronie

63



Idylla generała – ogród letniej rezydencji
Wühlischów w Ustce

ulicy, dochodzimy do budynku przy ul. Kopernika 7. Stoi za dawną stajnią von Wühlischów. Niegdyś musiał mieć dwa wejścia. Nad tym zamurowanym do dziś zachował się

w formie płaskorzeźby jeden z najwcześniejszych wizerunków herbu gminy Ustka. Przedstawia syrenkę na tle chorągiewek oznaczających rybackie sieci i żaglowiec przypominający średniowieczną kogę.

Niektórzy mówią, że w ten sposób oznaczył swój dom legendarny Gwido. Po powrocie z dalekiego rejsu miał się on stać bogatym człowiekiem. Ożenił się z tajemniczą nieznajomą, założył rodzinę. Podobno ową tajemniczą niewiastą była właśnie odczarowana Bryzga Rosowa i wielu upatrywało w



Na przedwojenne pochodzenie tej ozdoby elewacji wskazuje „sto” uwidocznione na żaglowcu. Może elewację wykonał sam mistrz Wilhelm Graznów, zanim zginął w odmętach Bałtyku?

jej rysach twarzy podobieństwa do herbowej syrenki. Gwido miał rzekomo poznać hybrydę za sprawą swojej matki. Staruszka prosiła go, by podziękował opiekunce za opiekę nad nią w czasie, gdy sam nie mógł się nią zajmować. Dziękując bezinteresownie za okazaną miłość podobno zdjął z syrenki pradawne zaklęcie powodując, że przyjęła postać stuprocentowej kobiety. I to właśnie umożliwiło mu założenie rodziny.

Za zarobione pieniądze zbudował dom dla siebie i dla matki, czyli wdowy Maruszy. Z dwoma wejściami, by teściowa nie wtrącała się w sprawy synowej. Budynek stanął daleko za uestecką wsią, w lesie i to tłumaczy, dlaczego nie ma go na przedwojennych planach Ustki.

W rzeczywistości to jednak przedwojenny budynek wielorodzinny, prawdopodobnie zbudowany przez uestecką gminę w latach 20. ubiegłego wieku. Samorząd zbudował wów-

czas kilka takich domów z mieszkaniem dla tak zwanych optantów, czyli Niemców, którzy zamieszkiwali tereny dawnego cesarstwa włączone w 1920 roku do Polski i którzy opowiedzieli się, że nie chcą mieszkać w Rzeczpospolitej.

Szlachetny gest mi- strza Draheima

Trasa naszej wędrówki prowadzi dalej ulicą Kopernika w stronę Placu Dąbrowskiego. Dzisiejszą ul. Kopernika dawni ustecczanie nazwali przed wojną ulicą Draheima (Draheimstrasse). Na cześć cieśli Franza Draheima, który w XIX wieku prowadził w Ustce firmę budowlaną. W latach 1885 – 1888 zbudował on m.in. kościół Najświętszego Zbawiciela. Pod koniec życia (1917) zapisał cały swój majątek o wartości 100 tys. marek na rzecz usteckiej gminy z przykazaniem, aby z odsetek corocznie przyrastających od kapitału głównego wypłacać zapomogi na rzecz najbiedniejszych usteckich dzieci. Odezwał się tu dobry, opiekuńczy duch, ten sam, którego spotykamy w legendzie o usteckiej syrence. Niestety, gest Draheima poszedł na marne, bo zaraz po I wojnie światowej szalejąca hiperinflacja zredukowała kapitał zgromadzony przez całe życie przez Draheima do zera.



Kościół Najświętszego Zbawiciela został zbudowany w latach 1885 – 1888, jako protestancki. W trzy lata postawiła go firma cieśli Franza Draheima. Draheim miał potem w Ustce swoją ulicę. Przed śmiercią majątek przepisał na rzecz gminy z życzeniem, by wspierała z tych funduszy dzieci z biednych rodzin.



Gdy Draheim przystępował do budowy kościoła, niektórzy mieszkańcy Ustki, przyzwyczajeni do kościoła w centrum osady (dzisiejszy skwer Jana Pawła II) protestowali przeciwko temu, że Dom Boży budowany jest w niegodnym miejscu, na skraju wsi.



Przedwojenne zdjęcie poczty przy ul. Marynarki Polskiej. Ją też zbudował dobry człowiek i dobry fachowiec, cieśla Draheim.

18. Z Placu Dąbrowskiego pod Ratusz. Stara legenda nową przepowiednią?

Plac Dąbrowskiego interesuje nas z dwóch powodów. Pierwszy, to socjalistyczny wizerunek syrenki na reklamie dawno już upadłej stoczni Ustka, a drugi, to rzeczka, w której za życia legendarnej wdowy Maruszy mogła się pluskać Bryzga Rosowa i wodne nimfy.

Plac powstał względnie niedawno. Na zdjęciach z 1926 roku widać już jego zarys i jeden budynek, stojący na tle widniejącego w głębi młyna (dziś w dawnym młynie mieści się Hotel Lubicz). Ale była to wtedy wciąż jeszcze łyśa wydma z dwiema piaszczystymi drogami, a nie prawdziwie miejski plac, jakim jest teraz.

Zapomniana rzeczka

Rzeczka wypływająca z pól między Przewłoką i Wytownem nazywana była Młynówką. Dawniej w sposób naturalny przepływała przez bukowy las na południe od starej rybackiej osady Ustka i uchodziła do Słupi w pobliżu miejsca, w którym dziś jest kino. Młynówka oddzielała dawną Ustkę od wsi Grabienko, która zaczynała się w miejscu, gdzie teraz jest stacja paliwowa i ciągnęła się dalej w stronę dzisiejszego Placu Dąbrowskiego. Wieś Grabienko występowała jako całkowicie odrębna od Ustki miejscowość do 1909 roku, kiedy to – nie bez oporów grabienczan – została do niej przyłączona.

Młynówka była ważnym elementem krajobrazu okolic dawnej Ustki. Przepływała pod malowniczymi mostkami w poprzek placu, dalej wzdłuż ulicy Krótkiej, aż do Marynarki Polskiej, gdzie znowu był mostek. Młynówka płynęła następnie łąkami, na których powstał dzisiejszy park za kinem i przez teren po stoczni, gdzie rzeczka łączyła się z Słupią.

Była naprawdę malownicza i dawne nimfy musiałyby być frajerkami, gdyby miały nie kąpać się w niej. Jeszcze na początku lat 70., gdy przepływała wzdłuż ul. Krótkiej, widać w niej było ryby. Potem zamieniła się w „smródkę”. Pod koniec lat 70. została wpuszczona w kanalizacyjne rury i stała się rzeczką podziemną.



Kiedyś była to dzika rzeczka, w sposób naturalny uchodząca do Słupi i rozdzielająca tereny dwóch wsi: Ustki i Grabienka. O Grabienku nikt już dziś jednak nie pamięta, bo od 1909 roku jest częścią Ustki.

„Feniks” i cmentarz

Trasą równoległą do dawnego koryta Młynówki możemy udać się teraz do końcowego punktu naszego szlaku: ratusza. Trzeba však sprawdzić, ile prawdy jest w legendzie o Maruszy i Bryzde.

Do ratusza dojdziemy skręcając z placu w prawo, w ul. 9 marca. Po prawej stoi pawilon handlowy „Feniks”. Do 2000 roku stał tu inny pawilon, nazywany przez „Stodołą”, jednak spalił się w wielkim pożarze. Kupcy nie dali jednak za wygraną. Odbudowali wspólnie budynek i nadali mu nazwę

mitycznego ptaka, który odradzał się z popiołów.

Dalej, po lewej, jest cmentarz. Został założony na początku XIX wieku, po zamknięciu tradycyjnego miejsca pochówków ustczan przy najstarszym kościele w pobliżu portu. W XIX leżał w lesie za wsią. Nie zachowały się najstarsze groby. W latach 70. zniszczono m.in. nagrobek ku czci Franza Drahaima, przedstawiający Chrystusa, a wyrzeźbiony przez Josefa Thoraka. Zniknął też granitowy nagrobek konsula Koppeke, usteckiego armatora i wicekonsula Królestwa Szwecji. Ciekawe są natomiast groby najstarszych polskich ustczan, w tym wielu rybaków, zasiedlających Ustkę po 1945 roku.

Ratusz z legendy

Ratusz widać z daleka. A także słysząc, bo wygrywany jest z jego wieży ustecki hejnał.

Przypomnijmy: ustecki ratusz występuje w legendzie o Syrence Usteckiej, napisanej przez Fenikowskiego. Miał stać w rynku miasteczka. Ale w dawnych czasach daremnie byłoby go szukać. Plac targowy owszem, był. Znajdował się przy ul. Czerwonych Kosynierów, naprzeciwko Domu Kul-

tury. Tam być może Marusza kupowała od wiejskich kobiet jajka na jajecznicę dla małego Gwidona. Miejskiego rynku ani ratusza jako takiego nigdy jednak wcześniej w Ustce nie było. Ani tam, ani gdzie indziej. Ustka jest nietypowym miastem, bo nigdy, aż po dziś dzień, nie otrzymała nadania praw miejskich. Przez wieki była wsią należącą do Słupska, a gdy w 1874 roku usamodzielniała się całkowicie i wystąpiła o nadanie takich praw do władz pruskich, wniosek odrzucono. Dopiero w 1945 roku, gdy po wojennej zawierusze przybyli tu polscy osadnicy, niejako z marszu uznali ją za miasto i powołali Miejską Radę Narodową. Od tego czasu Ustka funkcjonuje jako miasto. W pewnym sensie jest już miastem z przyzwyczajenia.

Wygląda więc to tak, jakby autor legendy jak jasnowidz przepowiadał przyszłe zdarzenie. Ratusz w Ustce... wyprorokował. Gdy tworzył legendę, Ratusza tu przecież nie było. Budynek, przed którym stoimy, służył zupełnie innym zadaniom. Był szkołą. Zbudowano go w rekordowym czasie jednego roku (1911 - 1912) za 126 tys marek. Robotnik na budowie zarabiał wtedy w miesiącu około 100 marek.

Szlachetny radca Engelbrecht

Tu również objawił się, po raz kolejny w dziejach Ustki, dobry duch. Tym razem w postaci radcy budowlanego Friedricha Engelbrechta. Radca ten latem 1910 roku przebywał na wczasach w Ustce. Gdy dowiedział się, iż uśczenie zmagają się z problemem, jaką szkołę i za ile zbudować, pomógł zaprojektować budynek i opracować korzystny kosztorys. Za darmo. W nagrodę uśczenie podarowali mu później srebrną zastawę stołową i nazwali jego imieniem ulicę prowadzącą do szkoły. Przed wojną obecna ul. Wyszyńskiego nazywała się Engelbrechtstrasse.

Jako szkoła gmach funkcjonował w latach 1912 - 2005. Pod koniec II wojny światowej służył też za lazaret wojskowy. Dopiero w 2005 roku ustecki burmistrz i radni, do tego czasu urzędujący wspólnie z samorządowcami Gminy Ustka w budynku przy ul. Dunina, postanowili stworzyć w Ustce ratusz z prawdziwego zdarzenia. Zdecydowano, że zamiast budować nowy, na potrzeby ratusza zaadoptowana zostanie stara szkoła

nr 1. Jej nauczycieli i uczniów przeniesiono do nowej jedyńki, którą zbudowano w zachodniej części Ustki, przy szosie do Darłowa. Ratusz w szkole zaczął działać od jesieni 2006 roku.

I potem wydarzyła się seria zdarzeń, które niektórzy interpretują jako działanie klątwy. Miała ona być rzucona sto lat temu na tych, którzy zmieniają przeznaczenie budynku.

Jak zdjąć „klątwę” z ratusza?

To temat głośny w Ustce od feralnego przypadku Jacka Graczyka, burmistrza kadencji 2002 - 2006. To on zapoczątkował przekształcanie szkoły na ratusz. W wyborach 2006 przez z pozoru drobne uchybienie formalne odpadł w wyborach na kolejną kadencję, jeszcze przed kampanią. Jacek Graczyk na pewno przejdzie do legendy tego ratusza.

Potem były wypadki i choroby, które ludzie związani z ratuszem interpretowali jako fatum. Ktoś rozbił auto, ktoś wyleciał z hukiem z pracy... Sam z mniemałą klątwą zetknąłem się zimą 2007 roku, podczas wędrowki w plener, zorganizowanej przez „Głos Pomorza”. Opowiadałem wtedy o budynku grupkom wycieczkowiczów, stojąc na pierwszym schodku głównego wejścia. Gdy tylko zacząłem mówić o klątwie, włączył się alarm, zawyły syreny. Wszyscy na kilka sekund stężeliśmy ze strachu.

Od tego momentu zacząłem zastanawiać się nad kwestią domniemanej klątwy. I rzuciła mi się w oczy wymowa dat ważnych w dziejach tego budynku.

Rzekoma klątwa jest dalekim echem tego, co wydarzyło się w dniu uroczystego rozpoczęcia budowy, 15 lipca 1911 roku. Tego dnia o godz. 15 ówcześni niemieccy mieszkańcy Ustki uczestniczyli w ceremonii wmurowania kamienia węgielnego pod gmach. Przewodniczący gminy Ziemann, który wkrótce potem stracił syna w I wojnie światowej (poległo w niej też wielu innych uczestników tej imprezy) wmurował dokument. Zapisano w nim, iż społeczność miejscowa pragnienie, by budynek zawsze służył kultywowaniu bogobojności, wierności królowi i miłości do ojczyzny.

15 lipca... Ówcześni ustczanie na pewno nie wiedzieli, jak ważna to data dla Polaków, przyszłych gospodarzy gmachu, wówczas żyjących pod jarzmem trzech zaborców. A przecież to dzień zwycięstwa pod Grunwaldem.

Kolejne ważne wydarzenie w dziejach budynku miało miejsce 6 sierpnia. Tego dnia, w 1912 roku, po budowie trwającej, nomen omen, 13 miesięcy, odbyła się uroczystość poświęcenia szkoły. W przedwojennej Polsce co roku 6 sierpnia hucznie obchodzono rocznicę rozpoczęcia przez I kompanię kadrową legionów Piłsudskiego marszu, który skutkował odzyskaniem przez Polskę niepodległości, a Niemców pozbawił Wielkopolski, części Śląska i Pomorza.

Data wymarszu Polaków na I wojnę światową nie mogła się później dobrze kojarzyć niemieckim użytkownikom szkoły. W tym konflikcie zginęło 76 mieszkańców Ustki, w drugiej wojnie światowej – już prawie pół tysiąca, w tym blisko 300 jako żołnierze. Większość z nich uczyła się w murach obecnego ratusza...

A kształtowanie bogobojności, wierności królowi i niemieckiej ojczyźnie? Radca Engelbrecht i burmistrz Ziemann zapewne nawet w snach nie wyobrażali sobie, że w szkole, pod którą kamień węgielny wmurowali 15 lipca 1911 roku, przez dziesięciolecie polskie dzieci będą śpiewać nie tylko Mazurka Dąbrowskiego i Rotę, ale do tego także komunistyczną Międzynarodówkę.

Przewertowałem wypisy w niemieckiej Kronice Szkoły, obecnie przechowywanej w Muzeum Ziemi Usteckiej. Notatka z 8 marca 1933 roku: Hitler właśnie uzyskał specjalne pełnomocnictwa, otwierające mu drogę do dyktatury. Święto „przełomu”.



Reklama z syrenką nie przyniosła szczęścia usteckiej stoczni. Upadła. Reklama okazała się trwalsza niż reklamowana firma

Uczniowie w całej Rzeszy, także i w naszej szkole, dostali wolne. Z wieży szkoły zwieszono ogromne flagi: czarno-biało-czerwoną (flaga cesarstwa i monarchistycznej partii, DNVP, która miażdżąco wygrywała w powiecie słupskim wybory), czarno-białą (flaga Prus) i między nimi po raz pierwszy także partyjną, czerwoną płachtę ze swastyką (flaga NSDAP), „jako symbol nowego ducha, który zbudził naród niemiecki.”

To ironia historii przez duże „H”. 8 marca jest datą wyzwolenia Ustki od faszyzmu. „Duch”, który zbudził naród niemiecki, po 12 latach przywiódł do Ustki Armię Czerwoną.

No i 14 kwietnia 2007. Wtedy odbyła się feta z okazji otwarcia ratusza. Byłem ciekaw, co wynajdę w kalendarium. Znalazłem trochę już zapomnianą datę z dziejów Polski. 14 kwietnia 966 roku Mieszko I przyjął chrzest.

Zapomnijmy, że tego dnia kwietnia zatonął Titanic, a wcześniej zastrzelony został prezydent Lincoln. Jeśli ktoś wierzy w znaki, a nie w przypadki, może na tej podstawie przyjąć, że budynek od początku chciał być ratuszem polskiej Ustki.

Ratuszem, który powinien być powstać w Ustce o wiele wcześniej. Najpóźniej w 1874 roku, gdy ustczanie pokornie, acz bezskutecznie, prosili władze pruskie o nadanie praw miejskich.

Dziwne zdarzenia, interpretowane jako klątwa, mogą mieć także tło syrenkowe. Legenda opowiada, że ustczanie wzruszeni historią o opuszczonej wdowie Maruszy i o pomocnej Bryzdze Rosowej postanowili zawrzeć to wszystko w graficznej formie herbu i herb ten zawiesić nad głównym wejściem do ratusza. Gdy staniemy pod budynkiem zauważymy, że nad wielkimi, ratuszowymi drzwiami jednak go nie ma. Brak go także nad bocznym wejściem od strony parkingu. Może więc w tych dziwnych przypadkach pobrzmiewa syrenia pieśń, w której Bryzga Rosowa domaga się od ustczan wykonania tego, co według legendy Fenikowskiego dawno już zrealizowali?



Według legendy, usteczki ratusz winien mieć nad drzwiami herb z syrenką. Nie ma go jednak, bo to prawdziwy usteczki ratusz, a nie z legendy

Szlak po Ustce śladami Syrenki Usteckiej

1. Dawny wjazd do wsi Ustka. Patrz: rozdział nr 6.
2. Dom kapitana Petera Haase. Patrz: rozdział nr 7.
3. Plac po dawnym Kościele św. Mikołaja. Patrz: rozdział nr 8.
4. Nabrzeże, z którego mógł odpłynąć legendarny „Wieloryb”. Patrz: rozdział nr 9.
5. Ratownia, czyli Czerwona Szopa. Patrz: rozdziały nr 10 i 11.
6. Pomnik „Ludziom Morza”, identyfikowany jako pomnik wdowy Maruszy. Patrz: rozdział nr 12.
7. Latarnia morska. Patrz: rozdział nr 13.
8. Promenada nadmorska. Patrz: rozdział nr 14
9. Pomnik Umierającego Wojownika. Patrz: rozdział 15.
10. Willa niemieckich generałów. Patrz: rozdział 16.
11. Ratusz ustecki. Patrz: rozdział nr 18.